

Lucy Clark

Idealna para

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Spóźniła się pani.

Halley Ryan podniosła głowę, spojrzała w górę, skąd dobiegł głęboki, zirytowany głos i napotkała parę zagniewanych błękitnych oczu. Serce zabiło jej szybciej z wrażenia, lecz opanowała się i wróciła do zbierania z ziemi papierów, które wypadły jej z ręki, kiedy biegła do wejścia szpitala okręgowego w Heartfield.

Jej nowy kolega był oszałamiająco przystojny. I wysoki, jak lubiła. Może te dwa tygodnie, jakie mam spędzić tu, na głębokiej prowincji, okażą się całkiem przyjemne, pomyślała. Z delikatnym uśmieszkiem błakającym się w kącikach ust zaryzykowała ponowne spojrzenie na gospodarza. Miał wciąż niezadowoloną minę, ale był boski. Nagle pojęła, że pewnie czeka na jakieś usprawiedliwienie.

- Przepraszam - powiedziała, upychając papiery w teczce i wstając. - Proszę sobie wyobrazić, że zgubiłam drogę. Domyślam się, że mam do czynienia z doktorem Pearsonem - dodała. Boże, jaki on jest wysoki, pomyślała. Zresztą w porównaniu z nią, a liczyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt, wszyscy byli wysocy. - Podałabym panu rękę, ale... - uśmiechnęła się rozbrajająco - w tej chwili to trochę trudne.

Przez ramię miała przewieszoną torebkę na długim pasku, pod pachą podręcznik medycyny, z którym się nigdy nie rozstawała, i podniesiony właśnie z podłogi skoroszyt, pod drugą pachą kilka innych książek, a oprócz tego dźwigała jeszcze walizkę.

- Hm - mruknął z niedowierzaniem doktor Pearson i uniół brwi, a następnie odwrócił się i wszedł do budynku.

Halley patrzyła za nim, uśmiech zniknął z jej twarzy. Co go ugryzło? Nawet nie pomógł jej nieść bagaży, chociaż, gdyby się zaoferował, zapewne odmówiłaby. No, no, rycerskość nie jest tu w modzie, pomyślała i ruszyła za nim.

- Tędy - instruował rzeczowym tonem, kiedy szli świeżo odnowionym korytarzem do skrzydła zajmowanego przez administrację. - To będzie pani gabinet - wskazał ręką. - Mój jest dwa pokoje dalej, a między nimi znajduje się kartoteka. - Spojrzał wymownie na zwichrowane teczki, które Halley niosła pod pachą, i dodał: - Utrzymujemy tam wzorowy porządek.

- Tak jest! - odrzekła tonem żołnierza potwierdzającego przyjęcie rozkazu i natychmiast pożałowała niewczesnego żartu. Instynkt podpowiadał jej, że ten mężczyzna nie przywykł do tego, by się z niego naśmiewano. Może mnie uda się to zmienić, pomyślała.

Doktor Pearson nie odpowiedział. Lekko tylko kiwnął głową w jej stronę i oddalił się, zostawiając gościa na progu gabinetu.

- Uff! - westchnęła Halley, rzucając bagaże na biurko. Opadła na krzesło, odchyliła się do tyłu, uniosła nogi i oparła na blacie. No, nie jest to najwygodniejsze siedzisko na świecie, ale jakoś te dwa tygodnie wytrzymam, stwierdziła w duchu.

- Spóźniła się pani - powtórzyła na głos słowa Maksa Pearsona i potrząsnęła głową. - Dwa tygodnie, Halley. Przyjechałaś tu tylko na dwa tygodnie, więc siedź cicho i rób swoje.

- Całkiem rozsądne postanowienie - wyrwał ją z zadumy głęboki, dźwięczny głos. Jak to dobrze, że włożyłam spodnie, pomyślała i zerwała się z miejsca. - Za dwie minuty zaczynamy przyjęcia w ambulatorium - poinformował doktor Pearson i cofnął się, robiąc nowej koleżance przejście.

I znowu, jak poprzednio, nie czekając na nią, ruszył przodem. Jak gdyby była zadzumiona!

- Widzę, że szpital niedawno malowano - zagadnęła w nadziei, że Maks zwolni i nawiążą rozmowę.

- Jest pani bardzo spostrzegawcza - rzucił przez ramię.
- Długo pan tu pracuje? - Halley się nie zrażała.
- Dziesięć lat.
- Och.

Dziwne, pomyślała. W wydziale zdrowia dla stanu Wiktoria powiedziano jej, że szpital okręgowy w Heartfield zatrudnia lekarzy na sześciomiesięcznych kontraktach. Nic nie wspomnieli o tym, że ktoś pracuje tu na umowie stałej, na dodatek już od tylu lat. A może to nieporozumienie, może on pracuje w kilku różnych szpitalach i przypadek zdarzył, że akurat dziś ma dyżur w Heartfield?

- Mieszka pan w okolicy?
- Tak.

No, teraz wszystko jasne, pomyślała Halley. Nic dziwnego, że traktuje mnie jak raroga. Przecież przyjechałam wizytować szpital i ewentualnie zaopiniować wniosek o jego zamknięcie.

W poczekalni powitało ich chóralne:

- Dzień dobry, panie doktorze. Maks Pearson przedstawił Halley recepcjonistce i kilku pielęgniarce.

- To jest Sheena Albright - oznajmił. - Przełożona pielęgniarce, instrumentariuszka, siostra oddziałowa, jednym słowem osoba do wszystkiego. Gdyby pani miała jakieś pytania, proszę zwracać się do niej.

- Miło mi panią poznać - powitała ją Sheena.

- To mamy nową lekarkę? - zainteresowała się jedna z czekających w kolejce kobiet.

- Pani Smythe? - zdziwił się Maks Pearson na jej widok. - To jest doktor Halley Ryan. Spędzi u nas dwa tygodnie i będzie pomagać w przychodni, odbywać wizyty domowe, uczestniczyć przy wszystkich zabiegach, zapozna się też z pracą administracji.

- Aha, czyli to ona zadecyduje, czy szpital zamkną, tak?

- Co? Ona ma być sędzią i ławą przysięgłych w jednej osobie? - wtrącił jakiś mężczyzna.

- Proszę państwa o spokój - zaczął lekarz. - Dyskusja na ten temat już się odbyła. Poza tym tu nie jest siedziba rady miejskiej, a przychodnia i czas zacząć pracę, prawda, pani doktor? - Spojrzał wymownie na Halley.

Wszystkie oczy skierowane były teraz na nią.

- Słusznie. Tak będzie najlepiej... Skierowała się do jednego z gabinetów, zaniknęła drzwi, oparła się ciężko o ścianę i westchnęła. Jak ma spokojnie pracować, jeśli wszyscy są do niej wrogo nastawieni? Tylko bez nerwów, upomniała się w duchu i wzięła kilka głębokich oddechów. Kiedy już się trochę uspokoiła, rozejrzała się dookoła, przejrzała szuflady, zapoznała się z zawartością szaf z podręcznymi lekami. Potem z uśmiechem przyklejonym do warg otworzyła drzwi. Głosy w poczekalni natychmiast umilkły, domyśliła się więc, że rozmawiano o niej.

- Poproszę karty - zwróciła się do recepcjonistki. - Pani Smythe? - przeczytała nazwisko z pierwszej z nich.

Nie usłyszała odpowiedzi, lecz natychmiast wszystkie oczy zwróciły się ku starszej kobiecie, tej samej, która wcześniej pytała doktora Pearsona o nową lekarkę. Widząc, że pani Smythe chwyta rączki balkonika i usiłuje się podnieść z krzesła, Halley pospieszyła jej z pomocą.

- Dziękuję - burknęła kobieta. - Widzę, że jest pani dobrze wychowana - dodała, kiwając głową. - To już coś.

Odprowadzana baczным wzrokiem czekających, Halley eskortowała pacjentkę do gabinetu. Podejrzewała, że owa kobieta nie przypadkiem znalazła się pierwsza na liście i że zapewne cieszy się dużym autorytetem wśród mieszkańców miasteczka. Nie musiała długo czekać na potwierdzenie swych domysłów.

- W Heartfield mieszkam od urodzenia - zaczęła pani Smythe, jak tylko drzwi gabinetu się za nimi zamknęły. - Oczywiście że czasami wyjeżdżałam, ale tu jest mój dom. A tych tam - artretycznym palcem wskazała poczekalnię - znam od... Och, jeszcze zanim przyszli na świat.

Widząc, że starsza pani kieruje się w stronę krzesła przed biurkiem, Halley zaproponowała:

- Może będzie łatwiej, jeśli zaczniemy od badania na leżąco? W ten sposób nie będzie pani musiała tyle razy siadać i wstawać z krzesła.

- Nie przyszłam się badać - ucięła pani Smythe, która tymczasem dotarła do biurka.

Halley zerknęła do karty. Istotnie, doktor Pearson badał panią Smythe zaledwie tydzień temu.

- Więc w jakiej sprawie pani się do mnie fatygowała?

- Chcę się dowiedzieć, jaka jest pani opinia w sprawie zamknięcia naszego szpitala. Bo uprzedzam lojalnie, wszyscy jak tu jesteśmy, poprzemy młodego Maxwella w jego walce o utrzymanie tej placówki.

Halley z trudem zachowała powagę. Wzmianka o „młodym Maxwellu” rozbawiła ją.

- Słusznie. Pragnę na wstępie wyjaśnić, że nie ja zabiegałam o powierzenie mi tej misji, raczej zostałam do niej wyznaczona. Niedawno wróciłam z kilkuletniego kontraktu zagranicznego i wydział zdrowia dla stanu Wiktorii zlecił mi właśnie to zadanie. Mam przeprowadzić wizytację i zaopiniować wnioski o zamknięcie szpitala.

- Czyli przyjechała pani tylko wizytować, tak?

- Tak. Nie jestem sędzią i ławą przysięgłych w jednej osobie, jak mnie przed chwilą nazwano. Po zakończeniu wizytacji po prostu przedstawię swoją opinię. Uprzedzam, że wydział zdrowia może się z nią nie zgodzić, biorąc pod uwagę wszystkie...

- Nonsens! - przerwała jej pani Smythe. - Ci na górze już dawno postanowili zamknąć nasz szpital, a przysyłanie tu pani to tylko mydlenie nam oczu. - Starsza kobieta najwyraźniej usłyszała już to, co chciała usłyszeć, i zaczęła się podnosić. Halley znowu pospieszyła jej z pomocą. - Przypuszczam, że to nie pierwszy szpital, który pani zamyka?

- Z trzech wizytowanych przeze mnie szpitali dwa nadal funkcjonują.

- A trzeci?

- Trzeci zamknięto.

- No właśnie.

- Tamten szpital był rozpadającą się rudera. W sąsiedniej gminie wybudowano nowy, a mieszkańcy mają zaledwie dziesięć minut drogi dalej. Tamtejsze warunki były zupełnie inne niż tu - tłumaczyła Halley. Wiedziała, że zanim ta kobieta opuści gabinet, musi pozyskać jej zaufanie. - Zdaję sobie sprawę z tego, że tutejsza społeczność traktuje mnie jako zwiastuna zagłady - ciągnęła. - Przyjechałam wykonać powierzoną mi pracę. Uznaję, że mieszkańcy Heartfield mogą mieć odmienne zdanie na temat celu tej pracy, ale uważam, że nastawianie się negatywnie do mnie osobiście jest niegodne i niesprawiedliwe. To właśnie oni, z góry uprzedzając się do mnie, zachowują się jak sędziowie i ława przysięgłych w jednej osobie.

Pani Smythe stanęła i uśmiechnęła się do Halley.

- To właśnie chciałam usłyszeć. Dzielna dziewczyna z pani. Jeśli potrafi pani tak występować w swojej obronie, to teraz wiem, że będzie pani broniła naszego szpitala.

Po wyjściu pacjentki Halley ze zdziwieniem stwierdziła, że ręce jej się trzęsą ze zdenerwowania. W ładny pasztet się wpakowała, przyjmując to zlecenie! Przywykła do tego, że w każdym nowym miejscu jest przyjmowana z rezerwą, ale ci

ludzie tutaj zniechcieli ją, zanim w ogóle zobaczyli!  
Niewiarygodne!

Zawodowa rutyna pomogła jej uporać się z pozostałymi pacjentami i ignorować pełne ciekawości, a nawet niechęci spojrzenia.

- Jak poszło? Nie musiała podnosić głowy, żeby wiedzieć, kto pyta.

Głos doktora Pearsona wrył jej się w pamięć.

- Jako tako - odparła i zerknęła na biurko, sprawdzając, czy zostawia je w takim samym nieskazitelnym porządku, w jakim je zastała. - Co teraz, doktorze Pearson?

- Proszę nazywać mnie Maks - rzekł mężczyzna. - Teraz wizyty domowe - dodał, odwrócił się i ruszył przodem.

- Halley - mruknęła w odpowiedzi i wybiegła za nim.

Nie chciała zgubić się w nieznanym budynku. Czuła ssanie w żołądku. Zerknęła na zegarek. Pierwsza. Nic dziwnego, że jest głodna. Nie odważyła się jednak napomknąć o przerwie na lunch. Wytrzymam, postanowiła. Maks ma pewnie w teczce pożywne kanapki. Może przygotowane przez żonę?

Zatrzymał się przed terenowym samochodem z napędem na cztery koła i ostrożnie umieścił torbę lekarską na tylnym siedzeniu. Halley przyglądała mu się uważnie, mimowolnie zerkając na jego dłonie. Brak obrączki na palcu ucieszył ją. To wcale nie znaczy, że nie jest żonaty, pomyślała.

- No, Halley, na co czekasz? Wsiadaj! Poczula się lekko skonsternowana. Czy zauważył, że gapi

się na niego? Co on sobie o niej pomyśli? Wsiadła szybko i zapięła pasy.

- Nie wiem, jak mogłaś się dziś zgubić - zaczął Maks. - Przez Heartfield biegnie tylko jedna droga.



- Jedna główna droga - sprostowała, starając się panować nad głosem. - A od niej odchodzi całkiem sporo bocznych dróg, na dodatek we wszystkich możliwych kierunkach.

- Ponad tydzień temu przesłałem faksem do wydziału zdrowia dokładne instrukcje - wciąż dziwił się Maks.

- Dowiedz się, że ja nie jestem pracownicą wydziału zdrowia.

Maks zrobił zdziwioną minę.

- Powiedzieli, że przysyłają kogoś z wydziału.

Halley odwróciła się w jego stronę.

- Jestem lekarką, której zlecono przeprowadzenie wizytacji szpitala. To zadanie nie ma nic wspólnego z moją karierą zawodową ani ze mną jako osobą prywatną.

Maks nie odpowiedział. Włączył kierunkowskaz i skręcił w wąską wyboistą drogę prowadzącą do dużego starego domu. Trzy ogromne australijskie owczarki z głośnym szczekaniem wybiegły im na spotkanie. Maks zatrzymał samochód przed wejściem do domu, zgasił silnik, odpiął pasy i wysiadł. Halley otworzyła drzwi po swojej stronie. Psy natychmiast rzuciły się do niej, blokując drogę. Wyciągnęła rękę, by mogły ją obwąchać.

- Siad! - nakazał Maks.

Owczarki natychmiast zostawiły Halley w spokoju i mogła bez przeszkód wysiąść. Zachowują się, jak gdyby był ich panem, pomyślała.

Wyminęli psy, które wciąż posłusznie siedząc, wesoło machały ogonami, i weszli do domu. Halley zauważyła, że Maks ani nie zapukał, ani nie zadzwonił, oraz że drzwi, zwyczajem ludzi na prowincji, nie były zamknięte na żaden zamek.

- Hej! Jest tam kto? - zawołał, wchodząc.

- Już idę - odparł męski głos z głębi domu.

Kiedy czekali na gospodarza, Halley zaczęło głośno burczeć w brzuchu. Maks odwrócił się i spojrzał na nią karcącym wzrokiem.

Wzruszyła ramionami.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała.

- Musisz wrzucić coś na ruszt.

- Bardzo chętnie. Czy jakaś przerwa na lunch jest przewidziana?

Zanim Maks zdążył odpowiedzieć, do holu wszedł mężczyzna w średnim wieku. Miał siwe włosy, orzechowe oczy, złamany nos i lekką nadwagę. Pewnie spędza za dużo czasu na oficjalnych lunchach, pomyślała Halley. Ubrany był w ciemnoszare spodnie od garnituru, niebieską koszulę w paski i krawat z monogramem. Zupełnie nie pasował do tego wiejskiego domu pełnego książek i fotografii.

- Jak ma się dzisiaj twoja matka? - spytał Maks.

- Lepiej. Kylie była rano zmienić opatrunek. Mama twierdzi, że była zadowolona z postępu leczenia.

- To dobrze.

- A to kto? - spytał obcesowo pan domu, jak gdyby dopiero teraz zauważył Halley.

- To jest doktor Ryan, Dan - oznajmił Maks.

- Baba! - wykrzyknął Dan. - No to, chłopie, nie ma szans. Teraz na pewno szpital zostanie zamknięty!

## ROZDZIAŁ DRUGI

Halley zachnęła się. Co płeć ma wspólnego z czymkolwiek?

- Czy to źle, że jestem kobietą? - spytała. Nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, zwróciła pytające spojrzenie na Maksa, ale on uniósł rękę gestem nakazującym milczenie.

- Jak już tłumaczyłem, wydział zdrowia rutynowo przeprowadza wizytację szpitali na prowincji. Sprawa zamknięcia naszego szpitala wciąż pozostaje otwarta.

- Wiem, że tak mówiłeś na zebraniu, chłopcze, ale faktem jest, że cokolwiek ta paniusia powie, tak będzie.

- Wypraszam sobie... - zaczęła Halley, ale i tym razem Maks zgromił ją spojrzeniem i ponownie uniósł rękę.

- Jeśli chodzi o doktor Ryan, jej kwalifikacje są bardzo wysokie, a poza tym sam doskonale wiesz, jak trudno jest znaleźć lekarza ogólnego, który by podjął u nas stałą pracę. Mam dość użerania się z lekarzami, którzy przyjeżdżają od - bębnić sześciomiesięczny staż na prowincji.

- Cóż, jeśli ona postawi na swoim, uwolnisz się od kłopotu i z lekarzami, i ze szpitalem.

- Wolałbym wstrzymać się z ocenami, dopóki nie przeczytam raportu doktor Ryan. Szpital jest tu potrzebny...

- Właśnie...

- ..ale traktowanie doktor Ryan, jak gdyby była naszym wrogiem, jedynie pogarsza sytuację.

Halley miała wrażenie, że ponad jej głową rozgrywa się swoisty mecz pingpongowy. Pocieszające było jedynie to, że Maks reprezentował tak otwarte stanowisko. Natomiast zachowanie Dana doprowadzało ją do furii.

- Popełniłeś błąd, zwołując zebranie w zeszłym tygodniu, i teraz popełniasz drugi, obrażając doktor Ryan - kontynuował Maks głosem wciąż spokojnym i opanowanym.

- Jestem naczelnikiem gminy - oświadczył Dan, dumnie wypinając pierś - i twoim przyszłym teściem, chłopcze.

Halley spojrzała na Maksa. Przyszłym teściem? Więc Maks jest zaręczony. On jest zaręczony, powtórzyła w myśli. Poczowała przy tym lekkie ukłucie w sercu. I co z tego? Wielka mi rzecz. Gratulacje i... i cierpliwości do takiego teścia. Oby narzeczona Maksa nie odziedziczyła charakteru tatusia.

- Nie tylko zasługuję na szacunek, ale żądam szacunku - ciągnął Dan dobitnym tonem. - Wyraziłem zgodę na twój ślub z Christine, ale jeśli masz stać się członkiem naszej rodziny, musisz przestrzegać obowiązujących w niej reguł zachowania.

Halley nie spuszczała oka z Maksa, który słuchał tej przemowy z niewzruszonym spokojem.

- Ta sprawa nie ma nic wspólnego z twoją rodziną, Dan. Dotyczy wyłącznie mojego stanowiska dyrektora szpitala w Heartfield. I chciałbym przypomnieć, że jako dyrektor odpowiadam przed zarządem, a nie przed naczelnikiem gminy. A teraz, jeśli pozwolisz, pójdziemy do Clarabelle. Doktor Ryan i ja musimy się pospieszyć, bo inaczej nie zdążymy odbyć wszystkich dzisiejszych wizyt. - Maks zręcznie wyminął przyszłego teścia, skinął na Halley i ruszył w głąb korytarza.

Nie odezwał się więcej, lecz kiedy zapukał do drzwi i wszedł do sypialni chorej, był już znowu pogodnym, rzeczowym lekarzem skoncentrowanym na pacjencie.

- Słyszałam, jak Dan na ciebie wrzeszczał - odezwała się Clarabelle, kiedy podeszli bliżej łóżka.

Maks wzruszył ramionami. Po chwili usłyszeli trzaśnięcie drzwiami i odgłos ruszającego samochodu, po czym zaległa cisza.

- A to pewnie nasza nowa pani doktor. - Kobieta uśmiechnęła się promiennie i wyciągnęła rękę. - Nic dziwnego, że Dan się wściekł. Kobieta lekarz, to mu się nie

mieści w głowie! - zauważyła i zaśmiała się. - Według mojego syna kobiety są pięknymi przedmiotami do podziwiania. Nie daj Boże, żeby były inteligentne, i w dodatku tę inteligencję wykorzystywały!

Halley przyglądała się matce Dana, której wiek oceniła na około osiemdziesiąt pięć lat. Starsza pani miała siwe włosy splecione w warkocz przerzucony przez ramię i bardzo, bardzo błękitne oczy.

- Miło mi panią poznać - powiedziała, ujmując podaną dłoń.

- Mów mi Clarabelle. A ty jak masz na imię, moje dziecko?

- Halley. Nazywam się Halley Ryan.

- Jakie ładne imię!

- Dziękuję. Moi rodzice kochają astronomię i dali mi imię na cześć astronoma Edmunda Halleya, odkrywcy...

- .. .komety - dokończyła za nią Clarabelle. - Jaki uroczy pomysł! - zachwyciła się.

- Długo jeszcze macie zamiar tak trajkotać? - przerwał im Maks, wyciągając słuchawki. I chociaż ton pytania był raczej szorstki, w oczach Maksa Halley dostrzegła błysk rozbawienia. Czyżby się z nią droczył?

- Masz coś przeciwko temu? - spytała Clarabelle. - Wiesz, zostaw tu Halley ze mną i dalej jedź już sam, dobrze? Od razu poczułam, że to pokrewna dusza.

- Wykluczone. Twoja nowa znajoma nic nie jadła, więc przed następnymi wizytami muszę ją nakarmić - oświadczył Maks i przystąpił do osłuchiwania piersi pacjentki, kładąc tym samym kres wszelkim dalszym rozmowom.

Halley zauważyła świeży bandaż na nodze Clarabelle. Na pewno wrzód żyłakowy, domyśliła się.

- Czy Kylie zostawiła dla mnie notatkę? - spytał Maks. Clarabelle kiwnęła potakująco głową.

- To nasza pielęgniarka środowiskowa - poinformowała.  
- Maks na pewno zapomniał ci o niej powiedzieć. To mil -  
czek - dodała szeptem.

- Za to wy gadałybyście bez przerwy - skarcił je Maks.

- To gdzie są te notatki?

- Na toaletce przy drzwiach - rzuciła Clarabelle. - I na pewno nie wspomniał ci, moja droga - teraz znowu zwracała się do Halley - o bożonarodzeniowej fecie, jaką nasz kościół urządza w sobotę. Pewnie się dziwisz, że to teraz, ale my zawsze organizujemy bal połączony z kwestą na cele dobroczynne zimą.

- Rzeczywiście, nie wspomniał. - Halley potrząsnęła głową.

- Ach, ci mężczyźni - westchnęła Clarabelle. - Ale teraz już wiesz. Wszyscy przychodzą - dodała i Halley natychmiast pomyślała, że w takim razie ona na pewno nie będzie zaproszona. Przecież cała tutejsza społeczność uważa, że przyjechała zamknąć ich szpital! - Jest choinka i wszystkie dekoracje, ze sztuczną jemiolą do kompletu. I oczywiście loteria fantowa. A co za jedzenie! Obowiązkowo pieczony indyk z żurawinami i inne specjały.

Tymczasem Maks skończył czytać zapiski pielęgniarki i w milczeniu podał kartę Halley. Jej podejrzenia potwierdziły się, lecz w opinii pielęgniarki wrzód na nodze goił się prawidłowo. Dodatkowo pisała, że przyjdzie jutro zmienić opatrunek. Halley pomyślała, że dobrze by było, gdyby mogła być przy tym i sama obejrzeć ranę.

- Teraz zrobię ci zastrzyk, a któreś z nas jutro do ciebie zajrzy - obiecał Maks.

- Niech to będzie Halley, proszę - rzekła Clarabelle i mrugnęła do młodej lekarki. Maks nie odezwał się, zajęty robieniem zastrzyku.

- Uważaj na siebie - powiedział, kiedy skończył.

- Dobrze - obiecała Clarabelle. - Do jutra, Halley - dodała.  
- Do zobaczenia, Maks.

W milczeniu przeszli do samochodu. Psy podbiegły do nich z głośnym szczekaniem. Halley stanęła, pozwalając im się obwąchać, potem wyciągnęła rękę, by je pogłaskać.

- Wasza pani musi was rozpieszczać - powiedziała do owczarków, a słysząc chrząknięcie Maksa, zwróciła się do niego z pytaniem: - Coś nie tak?

- Nie, nic.

- O co chodzi?

- Lubisz psy? - odezwał się Maks, obserwując zabawę Halley ze zwierzakami.

- Jak można ich nie lubić? - odparła, śmiejąc się, kiedy jeden z psów zaczął lizać jej rękę. - Przecież są łagodne jak baranki.

- Hm... - Maks chrząknął ponownie, jeszcze chwilę pozwolił psom się bawić z nową znajomą, potem rozkazał: - Siad! - Owczarki natychmiast posłuchały, ale patrzyły na Maksa spode łba. - Za domem jest zlew - powiedział Maks do Halley. - Umyj ręce. Zabieram cię na lunch.

Na końcu wyboistej drogi skręcił w prawo i po kilku minutach zatrzymał się przed małą restauracją połączoną z piekarnią. W witrynie Halley zobaczyła duży plakat z choinką zapowiadający bal, o którym już wiedziała od Clarabelle.

Halley wciągnęła w nozdrza smakowite zapachy i zaczęła czytać menu wypisane na dużej tablicy.

- Wybrałaś coś? - spytał Maks, stojący za jej plecami. Jego usta znajdowały się tuż przy jej uchu, a kiedy się odwróciła, by odpowiedzieć, ramieniem otarła się o jego ramię.

- Prze... - Z wrażenia poczuła dziwną suchość w gardle i musiała przełknąć ślinę. - Przepraszam - bąknęła.

- Na co masz ochotę? - dopytywał się Maks. - Ja stawiam.

- Nie, nie - wzbraniała się, potrząsając głową.

- Dlaczego? Poza tym, jeśli nie nosisz gotówki w kieszeni, a pewnie nie masz tego zwyczaju, będziesz musiała przyjąć moje zaproszenie.

Nagle Halley uświadomiła sobie żenującą sytuację, w jakiej się przez nierozwagę znalazła. Przecież nie ma przy sobie pieniędzy! Jak mogła być tak mało przewidująca i torebkę zostawić w szpitalu?

- Więc jak? - Głos Maksa odrobinę złagodniał. - Bądź moim gościem.

- Pod warunkiem, że pozwolisz mi się zrewanżować. Zgoda?

- Zgoda.

- Hej, Maks! To co zawsze? - zawołała sprzedawczyni.

- Nie, Alice. Tym razem tylko kawa i pączek - odparł Maks i obdarzył kobietę tym samym zniewalającym uśmiechem, z jakim zwracał się do Clarabelle, a który Halley wzięła za przejaw troski o samopoczucie pacjenta. Nie, nie! To jest uśmiech zawodowego amanta przez duże A, oceniła.

- Cicha woda brzegi rwie - mruknęła do siebie.

- Mówiłaś coś? - Maks odwrócił się do niej.

- Nie, nic, ja tak tylko do siebie - odparła. - Dzień dobry, jestem Halley Ryan - przedstawiła się i wyciągnęła do Alice rękę. - Przyjechałam na wizytację szpitala.

- Witamy w Heartfield. - Alice uścisnęła jej dłoń z uśmiechem. - Na pierwszy raz polecam „danie drwala”. Sporządzone według tradycyjnego przepisu, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyła Halley, zadowolona, że Alice tak miło ją traktuje. A kiedy Maks płacił, rozłożyła bezradnie ręce i spojrzała na nią porozumiewawczo.

Usiedli przy oknie.

- Jutro ci odpowiada? - spytała Halley.

- Zależy, co proponujesz.



- Lunch. Zapraszam cię jutro na lunch.

- Sprawdzę w terminarzu i dam ci znać. Terminarz. To było coś, czego Halley udało się dotychczas uniknąć - stania się niewolnicą małego notatnika. Wypracowała sobie prosty i zwięzły sposób zapamiętywania ważnych spraw - swój terminarz nosiła w głowie. Dzięki temu wiedziała, że jutro w porze lunchu jest wolna.

Maks był intrygującym mężczyzną i od rana zdążyła już poznać kilka stron jego osobowości. Zapragnęła wejrzeć głęboko w jego duszę, dzielić z nim sekrety, których nikomu nie wyjawiał. Sama taka myśl zaskoczyła ją. Co ci strzeliło do głowy, upomniała sama siebie ostro. Maks jest kolegą. Pamiętaj o tym. I nie zapominaj o takim drobiazgu jak to, że ma narzeczoną.

- Chciałam ci podziękować - powiedziała.

- Za co? - zdziwił się.

- Za to, że nie uprzedziłeś się do mnie z góry jak inni.

W błękitnych oczach Maksa dostrzegła błysk rozbawienia. Aż dech jej zaparło z wrażenia i ucieszyła się, że siedzi.

- Nie przyjęto cię tu miło...

- Niektórzy z pacjentów nie kryli niechęci. Dziękuję ci za to, że rzeczowo traktujesz sprawę wizytacji. Mógłbyś zionąć nienawiścią, jak niektórzy przedstawiciele tutejszej społeczności. Cóż... Chciałam ci tylko podziękować.

Maks milczał, wpatrzony w czubki swoich trzewików. Halley wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego słowa.

- Proszę i smacznego - życzyła Alice, stawiając talerze na stoliku.

Maks poczekał, aż odeszła, i dopiero wtedy się odezwał:

- Nie musisz mi dziękować - zaczął, pijąc kawę. - Wykonujesz swoją pracę i ja to rozumiem. A teraz jedz, bo mam już dość słuchania, jak ci burczy w żołądku.

Halley roześmiała się. Gdy jadła, Maks zapoznał ją z historią choroby następnych pacjentów, których mieli odwiedzić.

- Na końcu pojedziemy do pewnego zapalonego wspinacza, który miał wypadek. Spadając, złamał nogę w trzech miejscach i doznał wstrząśnienia mózgu.

- Wiem, co to znaczy - mruknęła, przełykając.

- Mówisz o złamaniu czy o wstrząsie mózgu?

- O złamaniu. Ja nie miałam wstrząsu mózgu. A ten chłopak nie włożył kasku?

- Włożył, ale pęknięty. Niech się cieszy, że nic gorszego mu się nie przytrafiło.

- Też się wspinam - wyznała. - Macie tu w mieście klub wspinaczkowy?

Maks uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Ty? Uprawiasz wspinaczkę?

- Uhm.

- Ale jesteś taka...

Urwał i wypił łyk kawy.

- Podejrzewam, że nie wiesz, jak grzecznie powiedzieć, że natura poskapiła mi wzrostu, czy tak? Brak kilku centymetrów nie psuje mi przyjemności, jaką czerpię ze wspinania.

- Od dawna uprawiasz ten sport?

- Wspinałam się, zanim zaczęłam chodzić. Kiedy byłam mała, moi bracia kazali mi włączyć na meble i podawać im rzeczy, które mama chowała przed nimi gdzieś wysoko. W ten sposób mogli zwalić winę na mnie. Oczywiście mama nigdy mnie nie karała. Byłam zbyt uroczym dzieckiem.

Maks uśmiechnął się.

- No, komu w drogę... - rzekł. - Musimy ruszać.

- Dziękuję za lunch.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Poza tym zobaczyłem coś nowego... kobietę, która je ze smakiem. - Co to ma znaczyć, zdziwiła się Halley w duchu, ale się nie odezwała. - Kobiety zwykle zamawiają sałatkę, a potem rozgrzebują ją widelcem, prawie jej nie tykając. Rozumiem, że dbają o linię, ale odpowiednio dobrana dieta jest bardzo ważna. Nie można jeść samej zieleniny, niczym królik.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Wiesz, podejrzewam, że mam apetyt, bo całe dni biegam...

- I wspinasz się - wtrącił z uśmiechem.

- I wspinam się, więc nie muszę tak bardzo dbać o linię.

- Opowiedz mi o braciach - poprosił Maks. - Ilu ich masz?

- Dwóch. Jowisza i Marsa. Są bliźniakami.

- Naprawdę takie mają imiona?

- Nie. - Halley roześmiała się. - Tylko tak ich nazywamy.

Jon jest... - przechyliła głowę i zerknęła na swojego towarzysza - trochę wyższy od ciebie, a Marty, który jest mniej więcej twojego wzrostu, ma rudą czuprynę. Przewiska do nich pasują, a na dodatek mnie rodzice nazwali od komety... - Wzruszyła ramionami. - Interesują się astronomią.

- Już mówiłaś. A czym zajmuje się twój ojciec? Halley trochę zaskoczyła nagła rozmowność Maksa.

- Jest na emeryturze. Tak jak mama. Teraz bracia prowadzą rodzinny interes. Zanim zapytasz, sama powiem, jaki. Planet Electronics.

- Planet Electronics!?

- Tak.

- To jesteście multimilionerami!

- I co z tego?

- Hm, to dobra odpowiedź.

Jakże często, nawet zbyt często, kiedy ludzie dowiadawali się, z jakiej rodziny pochodzi, dziwili się, dlaczego wybrała

zawód lekarza. Cóż, odpowiedź była prosta. Medycynę kochała, a elektronika mogła dla niej nie istnieć.

- Teraz twoja kolej. Masz rodzeństwo? Maks wpatrywał się w drogę przed sobą. Milczał.

- To nie fair - stwierdziła Halley, gdy milczenie się przedłużało. - Ja ci opowiedziałam o sobie. Mów.

- Mam siostrę, którą widuję raz na kilka lat. Mieszka w Europie - odparł beznamietnym tonem, a Halley spostrzegła, że stał się bardzo spięty.

- A rodzice?

Zdawała sobie sprawę, że jest zbyt wścibska, ale koniecznie chciała się czegoś dowiedzieć o tym człowieku enigmie.

- Rozwiedli się, kiedy miałem jedenaście lat - mruknął i włączył kierunkowskaz.

Skrećili w boczną drogę. Stukot kamyków obijających się o karoserię był tak ogłuszający, że dalsza rozmowa okazała się niemożliwa. Zresztą Halley odniosła wrażenie, że Maks nie chciał rozmawiać o rodzinie. Ale i tak powiedział wystarczająco dużo, by mogła się zorientować, jak ciężki bagaż doświadczeń dźwiga.

Do piątej odwiedzili jeszcze troje pacjentów. Na koniec zaś pojechali do Alana Kempseya, wspinacza ze złamaną nogą.

Maks przedstawił mu swoją towarzyszkę. Halley i młody chłopak od razu przeszli na ty. Potem wszyscy usiedli w saloniku.

- Złamałem nogę w trzech miejscach - postukał się w gips - kiedy spadłem z komina Chimney Pots w Grampianach - wyjaśnił.

- Grampiany! - Halley westchnęła. - Nie mogę się doczekać, kiedy je znowu zobaczę. Przepiękne góry. Naturalny rezerwat przyrody. Czego więcej można pragnąć?

- Znasz Grampiany? - zainteresował się Alan i oczy mu zabłyśły.

Halley kiwnęła potakująco głową.

- Kiedy miałam dwadzieścia lat, też złamałam nogę. Spadłam ze ściany Mount Abrupt. Złamałam sobie wtedy jeszcze kilka żeber i zwichnęłam rękę w nadgarstku.

- Wspinasz się? - dopytywał się Alan zaskoczony.

- A słyszałeś o Jowiszu i Marsie?

- Tak. Kto o nich nie słyszał? Ci faceci to legenda.

- Tak się składa, że są moimi braćmi.

- Nie mów! - wykrzyknął Alan. Halley milcząco skinęła głową, Maks zaś głośno przełknął ślinę. Najwyraźniej czuł się wykluczony z rozmowy. - Czyli ty jesteś... Kometa!

- Jak dawno nikt tak mnie nie nazywał. Przez cztery ostatnie lata byłam zbyt zajęta pracą, żeby na serio uprawiać wspinaczkę, ale mam nadzieję, że stąd wyskoczę w góry.

- Pojadę z tobą. Co prawda teraz przez ten gips nie mogę prowadzić, ale bardzo chciałbym obejrzeć cię w akcji.

- Zobaczymy, co się da zrobić - obiecała Halley i spojrzała na Maksa, który siedział z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Gotowa? - zapytał.

- Oczywiście. Poproszę najpierw otoskop - powiedziała i wyciągnęła rękę. Zastanawiała się, czy Maks będzie protestował. On jednak sięgnął do torby i podał jej instrument.

- Posłuchaj, Alanie - zwróciła się teraz do chłopaka - zacznę od zajrzenia ci do uszu. Wciąż dokuczają ci zawroty głowy?

- Tak.

- Poruszanie się o kulach nie wpływa korzystnie na twój stan - stwierdziła. Kiedy skończyła badanie uszu, Maks podał jej szpatułkę i małą latarkę. Halley obejrzała gardło pacjenta. - Kiedy masz wizytę u ortopedy? - spytała, przechodząc do badania oczu.

- Za miesiąc. Noszę ten gips od dwóch tygodni i już mi się wydaje, że o dwa tygodnie za długo.

- Kto się tobą opiekuje w Melbourne?

- Brian Newton.

- Świetny lekarz. Trafiłeś w dobre ręce.

- Też się wspina? - wtrącił Maks ze swojego miejsca na kanapie.

Halley uśmiechnęła się. Ucieszyła się, że Maks czuje się w stosunku do niej na tyle swobodnie, że pozwala sobie na podobne uwagi.

- Nie. Brian to po prostu kolega.

- Rozumiem - skwitował Maks, zamykając torbę lekarską.

- Na dziś to wszystko - zwrócił się do Alana. - Zajrzę jutro - obiecał i skierował się do wyjścia.

Halley pomogła Alanowi wstać i podała mu kule. W pewnej chwili chłopak zachwiał się, więc go podtrzymała. Zauważyła przy tym, że jakby odrobinę zbyt długo opierał się o jej ramię. Czy Maks to widział? Jego marsowa mina świadczyła o tym, że chyba tak.

- Sądzę, że jutro powinieneś przyjść tu sam - powiedziała, kiedy już siedzieli w samochodzie.

- Dlaczego? Myślałem, że taka adoracja sprawia ci przyjemność - odparł Maks szorstkim tonem. Znowu był tym mężczyzną, który skarcił ją rano za spóźnienie.

Halley lubiła jasne sytuacje.

- O co chodzi, Maks? Powiedz.

- Nie powinnaś flirtować z pacjentami.

- Nie flirtowałam - odcięła się ostro. - Prowadziłam uprzejmą towarzyską rozmowę.

- Z mojej strony to inaczej wyglądało.

- Więc pewnie stałeś po złej stronie. Prowadziłam towarzyską pogawędkę z pacjentem. Fakt, że mamy wspólne zainteresowania, poszerzył zakres tematów zazwyczaj

poruszanych przy pierwszym spotkaniu. Dlaczego nie zarzucasz mi, że zbyt swobodnie gawędziłam z Clarabelle?

- Clarabelle to co innego. Ona jest kobietą.

- Lekarz nie powinien różnicować pacjentów ze względu na płeć.

- Na miłość boską, dziewczyno, nie widzisz, że ten facet się t o b ą interesuje? - zawołał Maks i dla zaakcentowania tych słów uderzył dłonią w kierownicę. - Ślepy by zauważył.

- To jeszcze jeden powód, żebyś ty go leczył.

- I będę. Spędzisz tu tylko dwa tygodnie i nie chcę, żebyś złamała chłopakowi serce. Już i tak ma dość kłopotów.

- Pochlebia mi, że uważasz, iż jestem zdolna złamać komuś serce, ale nie jestem aż taka bezduszna, za jaką mnie masz. Poza tym trzymam się zasad i nie nawiązuję prywatnych znajomości z pacjentami. To zresztą byłoby sprzeczne z przysięgą Hipokratesa.

- Miło mi, że masz zasady.

- Jak wypadły jego badania? - Halley zmieniła temat.

- Całkiem nieźle. Objawy wstrząśnienia mózgu powinny minąć już niedługo. Podejrzewam, że zawroty i bóle głowy są dla niego irytujące. Codziennie odwiedza go siostra i przynosi mu jedzenie.

- To świetnie. Widzę, że tu wszyscy trzymacie się razem. Ale opowiedz mi teraz o historii szpitala, dobrze?

- Dlaczego? Nie chce ci się czytać dokumentacji?

- Tym też się zajmę. Jestem dokładna i systematyczna, zapamiętaj to sobie. Ale pomyślałam, że dochodzi szósta, oboje jesteśmy wykończeni... - Urwała i ziewnęła szeroko.

- Przepraszam, wstałam raniutko. No więc pomyślałam, że wykorzystam tę wspólną jazdę, żeby poznać twój punkt widzenia. Pracujesz w tym szpitalu od dziesięciu lat, więc twoje uwagi będą dla mnie niezwykle cenne. Proszę, opowiedz mi, jak to się zaczęło.

Maks wpatrywał się w drogę przed sobą. Halley czekała cierpliwie. Wiedziała, że nie zignorował jej prośby.

- Szpital powstał w latach czterdziestych, niedługo po wojnie. Mój ojciec, dziadek, wielu miejscowych mężczyzn wybudowało go własnymi rękami.

- Czyli taka oddolna inicjatywa społeczna.

- Pusty slogan, ale te mury to żywa historia.

- Gdyby tylko mogły przemówić... - Wbrew intencjom Halley zabrzmiało to jak kolejny slogan.

- Tak. Kiedy byłem w ostatniej klasie, w weekendy przychodziłem pomagać doktorowi Rzeźnikowi. Nie żartuję, naprawdę tak się nazywał. - Maks roześmiał się zaraźliwie. - A kiedy skończyłem studia, odbyłem staż za granicą, zrobiłem specjalizację z chirurgii, wróciłem na stałe.

- W wydziale zdrowia poinformowano mnie, że w szpitalu na sześciomiesięcznych kontraktach pracują rotacyjnie lekarze z Melbourne albo Geelong.

- Zazwyczaj tak. Jedynym powodem, dla którego tu przyjeżdżają - w głosie Maksa zabrzmiała teraz nuta pogardy - jest to, że po przepracowaniu pół roku na prowincji mogą zarejestrować praktykę i tłuc forszę bez ograniczeń.

Halley kiwnęła głową.

- Rozumiem - powiedziała. - Zaskoczyło mnie natomiast to, że ty pracujesz tu nieprzerwanie od dziesięciu lat. W materiałach informacyjnych, które mi wręczono, nie ma nic na twój temat.

- Nie wątpię. - Halley zauważyła, że z trudem panuje nad nerwami. Tymczasem zajechali przed szpital. Jedynym samochodem na parkingu był teraz jej jaguar.

- A więc kończymy zwiedzanie Heartfield w punkcie wyjścia - powiedziała, gdy wysiedli.

- Jeśli zabierzesz swoje rzeczy, możesz pojechać za mną do domu. W ten sposób... nie zgubisz drogi.



- Będiesz mi to wciąż wypominał? - spytała, podchodząc bliżej i żartobliwie grożąc mu palcem. - A już myślałam, że od rana coś się w naszych stosunkach zmieniło.

Uśmiechnął się i chwycił Halley za rękę. Jego dotyk podziałał na nią elektryzująco i natychmiast straciła ochotę do żartów. Ich oczy spotkały się. Zobaczyła, że Maks też spoważniał. Przez jedno mgnienie stali jak zauroczeni. Nagle Maks puścił jej rękę i cofnął się.

- Ja też muszę zabrać kilka rzeczy z biura - powiedział i ruszył w kierunku wejścia do szpitala.

Halley podążyła za nim. Wciąż nie mogła ochłonąć. Coś między nimi zaiskrzyło. A przecież Maks jest zaręczony!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Prawie się do siebie nie odzywając, zabrali rzeczy z biura i wsiedli do osobnych samochodów. Halley czuła się coraz mniej pewnie. Nie wiedziała, co sądzić o tym, jak działała na nią bliskość nowo poznanego lekarza.

To dlatego, że przez pewien czas nie było w twoim życiu żadnego mężczyzny, tłumaczyła sobie w duchu, cały czas starając się nie tracić z oczu tylnych świateł samochodu Maksa. Więc kiedy zobaczyłaś przystojnego faceta, od razu ci się wydaje, że cię pociąga. Jednak wiedziała, że to nieprawda. Przecież w Anglii, gdzie przepracowała dwa lata, spotkała wielu przystojnych mężczyzn, i nic. A Maks, którego poznała dziś rano, od razu zrobił na niej wrażenie.

Terenowy wóz Maksa zatrzymał się kilka przecznic od szpitala. Halley ze zdziwieniem spostrzegła, że Maks wjeżdża do garażu, chociaż to ona powinna pojechać przodem, bo to ona będzie tu mieszkała.

Maks wysiadł i podszedł do jej jaguara. Halley zgasiła silnik, lecz Maks na migi pokazał, by opuściła szybę. Kiedy to uczyniła, pochylił się i powiedział:

- Z drugiej strony też jest podjazd. Zaparkuj tam.

Dopiero wtedy spostrzegła, że stary kamienny budynek został przerobiony na dwa segmenty. Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach, kiedy wyjmowała bagaże z samochodu. Tymczasem Maks zatrzymał się na ganku i czekał obok otwartych drzwi do wspólnej sieni.

- To jest twoja strona, to moja - poinformował ją, skierował się do środka i zapalił światło.

Halley z ociąganiem weszła za nim. Kiedy uświadomiła sobie, że od Maksa będzie ją dzielić tylko cienka ścianka, omal nie ogarnęła jej histeria. Miała nadzieję, że wieczorami będzie mogła uciec jak najdalej od tego mężczyzny, odzyskać

równowagę ducha i obiektywizm spojrzenia. Tymczasem z tego nici.

- Mieszkanie jest, jak widzisz, umeblowane, a panie z koła gospodyń na pewno zaopatrzyły ci lodówkę - powiedział Maks i spojrzał na Halley, jak gdyby czekając na jej reakcję.

- To bardzo miło z ich strony. Maks wzruszył ramionami.

- Zawsze tak robią. Każdemu nowemu lekarzowi przynoszą rozmaite smakołyki na początek. Tutejsi ludzie wierzą, że jeżeli będą wyjątkowo mili dla lekarzy, to może któryś z nich zostanie na stałe.

Halley uśmiechnęła się z przymusem.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak chłodno powitano mnie dzisiaj w przychodni.

- Z tobą to co innego. Od ciebie zależy, czy zamkną szpital. Nie możesz się spodziewać, że powitają cię z otwartymi ramionami.

- Oczywiście, że nie. Szczególnie kiedy naczelnik gminy nastawia ich do mnie wrogo.

Maks spoważniał.

- Przepraszam cię za niego. Robiłem, co mogłem, żeby się opamiętał, ale moje wysiłki nie na wiele się zdały.

- Nie mówmy o tym. Gorsze rzeczy mnie spotykały. - Halley położyła teczkę i skoroszyty na stole w kuchni i otworzyła lodówkę. - Och! - wykrzyknęła zdumiona. - Widzę, że koło gospodyń serio traktuje swoją misję. - Z błyskiem w oku wyjęła tort czekoladowy. - Chcesz? - spytała.

- Teraz?

- A dlaczego nie? - Wyjęła dwa widelce z szuflady i podała jeden Maksowi, który ponownie podziękował za zaproszenie. - Wiem, co myślisz o diecie i zgadzam się z tobą, ale od czasu do czasu potrzebne jest mi coś słodkiego dla poprawy nastroju - wyjaśniła. Ukroiła kęs tortu, włożyła do ust. - Mmm. Pycha - mruknęła i przymknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, ujrzała przed sobą nieznaną długowłosą blondynkę, która gestem władczyni trzymała dłoń na ramieniu Maksa. Halley udało się nie okazać zdziwienia.

- Domyślam się, że pani to Christine - powiedziała, odkładając widelec i wyciągając do gościa rękę. - Halley Ryan.

- Miło mi - bąknęła narzeczona Maksa.

- Poznałam dzisiaj pani babkę - ciągnęła Halley. - Przemiała osoba.

- Tak, prawda?

- I ma taki ładny dom - ciągnęła Halley.

- Tak, prawda?

- I urocze psy. Przy wzmiance o psach Christine wzdrygnęła się.

- Wolałabym, żeby się ich pozbyła, ale babcia twierdzi, że dotrzymują jej towarzystwa.

- Pani nie lubi zwierząt?

- Niespecjalnie.

- Może ciasta? - Halley postanowiła zmienić temat.

- Dziękuję. Staram się nie jeść między posiłkami. Właśnie... - Christine odwróciła się w stronę Maksa. - Pospiesz się, mój drogi. Nie chciałabym, żeby kolacja wystygła.

- Halley i ja mamy pewne sprawy do omówienia. Wiesz, w związku z wizytacją - wyjaśnił Maks.

Christine w milczeniu kiwnęła głową. Halley zauważyła, że dotknęła przy tym perełek, które miała na szyi.

- Miło mi było panią poznać - powiedziała Christine i ujęła narzeczonego pod rękę. Wyglądało to, jak gdyby siłą chciała go wyciągnąć z pokoju.

- Może pojedziesz z nami? - zaproponował Maks, zwracając się do Halley.

- Dziękuję, ale zostanę przy torcie. Poza tym muszę się rozpakować.

- No to do zobaczenia.

- Do zobaczenia. Kiedy drzwi zamknęły się za Maksem i jego narzeczoną,

Halley zabrała talerzyk z tortem i widelec i przeszła do saloniku. Opadła na fotel.

Dziwne, że przedtem Maks nic nie wspomniał o pracy jeszcze dziś wieczorem, pomyślała. Czyżby coś się za tym kryło? Może Christine mieszka z ojcem i dlatego potrzebna mu była wymówka, żeby się oddalić w dogodnej dla siebie chwili? Nie tak sobie wyobrażała narzeczoną Maksa. Co prawda poza tym, że jest przystojnym blondynem obdarzonym poczuciem humoru, nic o nim nie wiedziała. Wiedziała natomiast, że kiedy patrzył na nią, kolana się pod nią uginały. Wiedziała też, że nie może przestać o nim myśleć, chociaż poznali się zaledwie kilkanaście godzin temu.

Wzięła pilota ze stolika i włączyła telewizor. Musi przestać myśleć o Maksie i jego narzeczonej. Dlaczego wszyscy interesujący mężczyźni, jakich spotyka, są już zajęci?

Dwie godziny później Maks zapukał do drzwi mieszkania Halley. Ze smakiem zjadł przepyszną kolację przygotowaną przez Christine, doskonałą kucharkę. Znajomi żartowali, że po ślubie na pewno przytyje. Z niezadowoleniem natomiast myślał o przygotowaniach do ślubu, które narzeczona zaczęła właśnie dziś z nim omawiać. Coś mu się w tym wszystkim nie podobało, ale nie potrafił określić co.

- Przykro mi, ale ponurakom wstęp wzbroniony - usłyszał i uświadomił sobie, że dał się opanować niewesołym myślom.

- Zmartwienia proszę zostawić za progiem - dodała Halley i cofnęła się, aby zrobić gościowi przejście.

Mijając ją, Maks poczuł znajomą już woń perfum.

- Wyglądasz inaczej - zauważył.

- Tylko z wierzchu - zażartowała.

Zmieniła eleganckie spodnium na stare, przetarte na kolanach džinsy i pogniecioną, pomarańczową koszulkę z bawełny. Zmyła makijaż, włosy miała wilgotne, a na nosie okulary w drucianej oprawce. Była boso. Maks oczu nie mógł od niej oderwać. Teraz, bez sztywnej oprawy, wydawała mu się najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Biła od niej naturalność, prostota...

- Właśnie zaparzyłam kawę - dodała. - Napijesz się?

- Z przyjemnością. - Postawił teczkę na podłodze i nagle poczuł, że w pokoju jest bardzo ciepło. Dopiero wówczas spostrzegł, że Halley napaliła w kominku. Zdjął marynarkę i powiesił na wieszaku obok drzwi. Do tej pory zima nie dawała się im we znaki, ale ponieważ był dopiero początek czerwca, jeszcze wszystkiego można się było spodziewać. Poszedł za Halley do kuchni. Na widok ekspresu do kawy uśmiechnął się i powiedział: - Tego chyba nie było w szafce. Halley odpowiedziała uśmiechem.

- To przywiozłam - wyjaśniła. - Jest kilka takich rzeczy, bez których pracująca dziewczyna nie może się obejść.

- Prawda. Halley nalala kawę do filiżanek.

- Może masz ochotę na coś słodkiego? - spytała, wyjmując tort czekoladowy. - Nie zdołałam zjeść wszystkiego.

- Poproszę.

- Tak myślałam. - Maks zrobił zdziwioną minę. - Wiedziałam, że lubisz słodkie. Jak ja - ucieszyła się. - Wiesz, zaczęłam już... - Urwała, szukając czegoś w szafkach.

- Co zaczęłaś?

- Zaczęłam przeglądać dokumenty. - Znalazła tacę i ustawiła na niej filiżanki i talerzyki z tortem. - W wydziale zdrowia dali mi wczoraj mnóstwo materiałów.

- Wczoraj była niedziela - zdziwił się Maks.

- Wiem, ale tylko wczoraj mogłam je odebrać z biura w Melbourne. - Wzruszyła ramionami. - Inaczej przyjechałabym bez nich, a to nie miałyby sensu. - Uniosła filiżankę, wypila łyk. - Mmm - mruknęła i przymknęła powieki.

Maks wykorzystał moment, gdy miała oczy zamknięte, żeby spojrzeć na jej pełne zmysłowe usta. Jak gdyby stworzone do pocałunków, pomyślał. Siłą woli zmusił się do odwrócenia wzroku. Wstał, podszedł do telewizora, na którym stało kilka oprawionych w ramki fotografii. Wziął do ręki jedną z nich.

- Twoi bracia?

- Tak.

- Sławne planety. Jowisz i Mars. Teraz widzę, że te przezwiska świetnie do nich pasują. - Odstawił fotografię na miejsce, spojrzał na kolejne zdjęcie. - Jesteś podobna do matki - zauważył - a ojca znam z gazet. Pewnie też masz udział w rodzinnej firmie?

Halley wzruszyła ramionami.

- Rodzice sprezentowali mi je na dwudzieste pierwsze urodziny. Doceniam ten gest, ale prawo podejmowania decyzji scedowałam na ojca. Biznes mnie aż tak bardzo nie interesuje.

- Co na to ojciec?

- Szanuje mój wybór. Niezbyt ceni mój dyplom lekarza, ale zawsze to mnie się radzi, kiedy mu coś dolega. Po prostu... Cóż, jestem inna.

- A twoi bracia?

- Oni z ochotą poszli w ślady ojca. Znakomicie sobie radzą i robią to, co lubią.

- I nie ciągnęli cię do fabryki, żebyś zobaczyła, co właściwie się tam produkuje?

- Ciągnęli? Nie. Któregoś dnia sama miałam ochotę zobaczyć, o co tyle hałasu, więc nikomu się nie tłumacząc, dołączyłam do grupy z przewodnikiem.

- I nie... żałujesz, że to wszystko cię ominęło? - spytał z niedowierzaniem.

Halley potrząsnęła głową.

- Nie. W naszej rodzinie szanujemy decyzje innych. Maks spojrzął jeszcze raz na fotografię i sięgnął po teczkę.

Skoncentruj się na pracy, mówił do siebie. Przecież po to tu przyszedłeś. Otworzył zamek szyfrowy, wyjął dokumenty i podał je Halley. Jej wielkie brązowe oczy patrzyły na niego z zaciekawieniem i zdziwieniem. Czyżby czuła to samo? To coś... cokolwiek to jest, co zaistniało między nimi? Nie, nie. To tylko chora wyobraźnia. Halley patrzy na niego jak na kolegę, z którym ma pracować przez najbliższe dwa tygodnie. A poza tym, jest przecież Christine.

- Weźmy się do roboty - powiedział.

- Oczywiście - zgodziła się, zdziwiona nagłą zmianą w zachowaniu Maksa.

Spojrzał w kierunku kominka, z którego płynęła fala ciepła. Podwinął rękawy, rozwiązał krawat i przysunął krzesło trochę bliżej stolika do kawy.

- Jeśli chcesz się przebrać, poczekam - zaproponowała Halley. - Nie masz daleko.

Maks pomyślał teraz, że przyjazd tej młodej kobiety do ich miasteczka jest jak powiew świeżego powietrza.

- Nie, wytrzymam. Ale widzę, że nie znosisz zimna - zauważył.

- Nie cierpię. To co, zabieramy się do pracy? Pokazała mu dokumentację otrzymaną w wydziale zdrowia.

Chciała usłyszeć jego zdanie na temat sprawozdań tam zawartych. Dwie godziny później, wypiwszy morze kawy i spałaszowawszy cały tort, zdołali przejrzeć mniej więcej jedną czwartą materiału. W pewnej chwili Halley wstała z podłogi, przeciągnęła się i ziewnęła. Maks zaczął się pakować.



- Wystarczy na dziś, ale dobrze, że chociaż zaczęliśmy - powiedział.

- Więc może zjemy jutro razem lunch? - spytała. - Moglibyśmy kontynuować pracę.

- Niestety, jutro jestem już umówiony - odparł, a Halley ze zdziwieniem stwierdziła, że zrobiło jej się przykro. - Ale trzymam cię za słowo - dodał. - Wygląda na to, że m a m y sporo materiału do przejrzenia, więc będzie jeszcze okazja.

- To ja mam sporo materiału do przejrzenia - poprawiła go, a widząc, że otwiera usta, by zaprotestować, ciągnęła: - Ocena szpitala to moja misja, a decyzję muszę podjąć bezstronnie. I chociaż twoje zdanie jest dla mnie bardzo ważne, a pomoc w analizowaniu niektórych sprawozdań ogromna, nie chciałabym cię obarczać dodatkowymi obowiązkami.

- Nie uważam spraw szpitala za ciężar i dołożę wszelkich starań, żebyś otrzymała wszelkie informacje potrzebne ci do podjęcia suwerennej decyzji. Z tego, co pokazałaś mi dzisiaj, wynika, że wydział zdrowia dostarczył ci wybiórcze analizy. Sprawa może się rozbić o finanse, ale bilans, który posiadasz, opiera się na nieprawidłowych przesłankach. Porównywanie naszego szpitala do szpitala na przedmieściach Melbourne jest z gruntu błędne.

Halley uśmiechnęła się w duchu. Podobało jej się, że Maks ma tak emocjonalny stosunek do miejsca pracy.

- Jesteś przyzwoitym człowiekiem, Maks - powiedziała. - Trochę ekscentrykiem, ale to nie szkodzi.

Przeczesał palcami włosy.

- Przepraszam. Zagalopowałem się. Nie chciałem dosiadać swojego konika... - Potrząsnął głową. - Dlaczego uważasz mnie za ekscentryka? Jeśli któreś z nas dwojga jest ekscentrykiem, to z pewnością nie ja.

Halley roześmiała się. Maks połknął haczyk.

- Nie, nie. Ja nie jestem ekscentryczką.

Zatrzymali się w przedpokoju zwróceniu do siebie twarzami i nagle Halley poczuła, że atmosfera między nimi staje się znowu dwuznaczna, niemal naładowana erotyzmem. Co jest takiego w tym mężczyźnie, co sprawia, że chciałaby odrzucić wszelkie rygory i pocałować go? Jest przecież zaręczony!

Siłą woli zmusiła się do otworzenia drzwi. Powiew zimnego powietrza wpadł do mieszkania.

- Bezpiecznej drogi - zażartowała, starając się rozładować napięcie.

- Do jutra. Śpij dobrze. Po wyjściu Maksa oparła się o zamknięte drzwi i otuliła

się ramionami. Czy to wiatr, czy nieobecność Maksa sprawiły, że zrobiło jej się nagle zimno?

Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w ciszę. Po chwili usłyszała, jak drzwi mieszkania Maksa otworzyły się i zamknęły.

Rzucił teczkę na podłogę tuż przy wejściu, zdjął marynarkę, powiesił i wolnym krokiem przeszedł do salonu. Tam opadł na kanapę, odchylił się na oparcie, przymknął oczy. Wiedział, że gdyby Halley dotknęła go albo nawet zbliżyła się chociaż odrobinę, porwałby ją w ramiona i zaczął całować.

Cóż to za absurd, westchnął. Przecież jestem zaręczony! A Christine posiada wszystkie cechy, jakich szukam u partnerki. Jest piękna, potrafi się ubrać. Jest świetnie zorganizowana i wspaniale gotuje. Oboje pragniemy tego samego - rodzinnego domu. A ponieważ Christine nie ma ambicji zawodowych, z chęcią poświęci się wychowaniu dzieci.

Marzeniem Maksa było, by jego dzieci miały szczęśliwsze dzieciństwo od niego. Christine знаła jego przeszłość. Jej nie musiał niczego tłumaczyć, przed nią nie musiał się

usprawiedliwiać. Tylko dlaczego przy niej nigdy nie poczuł takiego przyływu namiętności?

Nie, nie, pamiętaj, do czego namiętność doprowadziła ojca, mówił sobie w duchu. Do rozwodu!

Postanowił, że nie ulegnie, nie da się opanować chwilowej słabości i nie zniszczy wszystkiego, co z takim trudem wypracował. Christine jest punktualna, rzetelna i lubi porządek - tak jak on. Stanowią idealną parę.

Trzy dni później, w przerwie między pacjentami, Halley piła popołudniową kawę i rozmyślała. Była zmęczona i zła. Kolejne trzy prawie nieprzespane noce zrobiły swoje.

- Dziś śpisz w salonie - mruknęła do siebie. - Daleko od wspólnej ściany z sypialnią Maksa.

Pierwszej nocy prawie do rana nie zmrużyła oka, przewracając się na łóżku, zupełnie jak jej sąsiad za ścianą. Przecież ich mieszkania to właściwie jeden dom z dwiema łazienkami i kuchniami! Ilekroć słyszała prysznic, natychmiast wyobrażała sobie, jak Maks pod strumieniem wody się namydla.

Przez następne dwie noce śniła o nim, a nad ranem budziła się z uczuciem osamotnienia i pustki. Do późnego wieczoru ślęczała nad papierami, aż litery zlewały jej się przed oczami. Na szczęście Maks nie zaproponował kolejnego roboczego spotkania. Wolą unikać ponownego sam na sam z nim.

Wizyty domowe rozdzielili między siebie. Maks pozwolił jej zająć się babką swojej narzeczonej i Halley zostawiała sobie odwiedziny u starszej pani na koniec, by nie musieć się nigdzie spieszyć. Lubiła pogawędki z Clarabelle, która opowiadała jej lokalne historie. Zaraz, zaraz, co ona dzisiaj mówiła? Halley wróciła myślami do porannej rozmowy.

- Tak bym chciała, żeby Maks przestał być taki spięty - zaczęła. - Rodzice rozwiedli się, kiedy miał jedenaście lat i od tamtej pory bardzo się zmienił. Zamknął się w sobie.

- Mówił mi o tym - powiedziała Halley. Clarabelle spojrzała na nią zdziwiona.

- Maks? Mówił ci o rodzicach?

- Tak. Że się rozwiedli.

- No, no. - Dziwny uśmieszek przemknął po ustach Clarabelle. - Opowiedz mi o swoich braciach - poprosiła.

Halley zamyśliła się. Wiedziała, że Clarabelle specjalnie zmieniła temat. Czy to coś znaczy? I czy fakt, iż Maks powiedział jej choć trochę o swojej rodzinie, można uznać za komplement?

Wyszła do poczekalni i poprosiła następną pacjentkę.

Mary Simpson okazała się drobną kobietą ubraną w starą brązową kretonową spódnicę, sweter robiony na drutach, wełniane rajstopy i solidne trzewiki. Z karty wynikało, że liczy dwadzieścia osiem lat, ale miała tak przygnębioną twarz, że wyglądała na dwa razy starszą.

Halley obdarzyła ją promiennym uśmiechem, zaprosiła do gabinetu i wskazała krzesło.

- Z czym pani do mnie przychodzi? - zaczęła. Mary chrząknęła.

- Czuję się... czuję się... - Urwała i spuściła wzrok. Intuicja podpowiadała Halley, że z tą kobietą dzieje się coś niedobrego. W ciągu ostatnich trzech miesięcy Mary Simpson zgłaszała się do Maksa mniej więcej co dwa tygodnie z rozmaitymi dolegliwościami - bólem głowy, żołądka, ręki. Z notatek w karcie wynikało, że Maks wykluczał hipochondrię i był tak samo zaniepokojony jak teraz Halley.

„Mary czymś się bardzo martwi”, pisał. „Przy każdej wizycie mam nadzieję odkryć przyczynę”.

- Przybita? - zasugerowała Halley. Mary kiwnęła głową w milczeniu.

- Proszę opowiedzieć mi trochę o sobie - poprosiła Halley. - Od dawna pani tutaj mieszka?

- Sprowadziliśmy się tu z mężem dwa lata temu.  
- Dawno jesteście małżeństwem?  
- Trzy lata.  
- To wspaniale. O ile zdążyłam się zorientować, Heartfield jest bardzo sympatycznym miejscem. Ludzie są do siebie przyjaźnie nastawieni i jest tyle rzeczy, którymi można się zająć. Żałuję, że nie mam czasu uczestniczyć w warsztatach rękodzielniczych ani dołączyć do klubu wspinaczkowego, ale niestety za dwa tygodnie wracam z powrotem do Melbourne.

Mary spojrzała na Halley szeroko otwartymi oczami.

- To pani nie będzie tu na... na stałe?  
- Nie. Przyjechałam tylko do czasu, kiedy znajdzie się ktoś chętny odbyć sześciomiesięczny kontrakt, poza tym, jak pani pewnie słyszała, przeprowadzam wizytację szpitala.

- Aha.  
- A pani udziela się w jakimś klubie?  
- Tak, oczywiście.  
- Mąż pracuje w okolicy?  
- Tak - potwierdziła. - Mój mąż został zastępcą naczelnika gminy, a ma dopiero trzydzieści jeden lat.

Tyle samo co ja, pomyślała Halley.

- Musi być pani z niego dumna - zauważyła.  
- Och tak. Tatuś zawsze powtarzał, że Bernard zajdzie i daleko, i miał rację.

- Gdzie mieszkają pani rodzice?  
- Niedaleko stąd, w Colac. Bernard pracował w sklepie z artykułami żelaznymi tatusia. Tak się poznaliśmy.

- Macie dzieci? Na wzmiankę o dzieciach Mary ponownie stała się spięta i potrząsnęła głową. Halley zaintrygowała jej reakcja.

- Próbowała pani zajść w ciążę? - spytała łagodnie.

Mary w milczeniu kiwnęła głową.

- W takim razie porozmawiajmy o pani cyklu. Postaramy się określić, kiedy następuje owulacja - zaczęła, ale widząc przerażenie na twarzy pacjentki, pomyślała, że musi zacząć od samego początku. - Czy kiedykolwiek pokazywano pani, jak określać swój cykl?

- O jakim... pani doktor mówi? - szepnęła Mary.

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? - zaproponowała Halley.

I zanim Mary opuściła gabinet, wiedziała już wszystko o naturalnych metodach planowania rodziny. Halley wpisała przebieg wizyty i badania do karty, notując w pamięci, że musi porozmawiać z Makssem o tej dziwnej kobiecie.

Potem przyjęła jeszcze troje innych pacjentów. Zmęczona, uporządkowała gabinet, powiedziała „dobranoc” recepcjonistce i udała się do biura, by popracować jeszcze trochę nad sprawozdaniami. Po półgodzinie usłyszała pukanie do uchylonych drzwi. Kiedy podniosła głowę, zobaczyła Maksa, który przyglądał się jej z rękami w kieszeniach i z marsową miną.

- Coś cię trapi? - spytała.

- Nie. Zaskoczyłaś mnie. Nie podejrzewałem, że jesteś pracoholiczką - odparł. - Nie jesteś głodna?

- Jak wilk. Może dasz się zaprosić na obiecaną kolację? - rzuciła, pakując teczkę.

- Mam inną propozycję. Kiedy będziesz szykować mi coś do zjedzenia, porozmawiamy o szpitalu.

- Ja mam ci szykować coś do zjedzenia? - Zdziwienie Halley nie miało granic. - Zaproszenie dotyczyło co prawda lunchu lub kolacji, ale na pewno nie miałam tego gotować. Najwyraźniej nikt cię jeszcze nie przestrzegł przed moim gotowaniem - zażartowała, wzięła swoje rzeczy i podeszła do drzwi.

Maks nie cofnął się. Kiedy się zbliżyła, spojrzał na nią poważnym wzrokiem. Halley poczuła dziwny skurcz w żołądku, suchość w gardle.

- Wiesz, że kiedy wkładasz szkła kontaktowe, twoje oczy są bardziej brązowe?

- Wiem. Soczewki są barwione - wyjaśniła. Mocniej ścisnęła rączkę teczki. Wszystkimi zmysłami, całym ciałem reagowała na każdy ruch tego mężczyzny.

- Halley - szepnął, prawie nie ruszając wargami. Jej imię w ustach Maksa zabrzmiało jak pieszczota.

Uświadomiła sobie nagle, że on zaraz ją pocałuje i że ona... że ona mu się nie oprze.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nagle usłyszała daleki dzwoneczki. Czyżby mama miała rację, przemknęło jej przez myśl. Zawsze mówiła, że kiedy w życiu kobiety zjawia się ten właściwy mężczyzna, świat rozbrzmiewa dźwiękiem dzwonów, aż wibrują ziemia i powietrze.

Maks uniósł głowę, nasłuchiwał.

- To u mnie - rzucił i pobiegł do swojego gabinetu. Halley patrzyła chwilę za nim, potem oparła się ciężko o ścianę. Maks prawie ją pocałował. Co ona... on... oni... Co my robimy, pomyślała przerażona. Przecież on ma narzeczoną!

- Dzwoniła siostra Alana Kempseya - usłyszała przy sobie głos Maksa. - Przyszła w odwiedziny i znalazła go na podłodze, nieprzytomnego. Jesteś mi potrzebna. Bierzymy karetkę.

- To macie karetkę? - spytała, biegnąc za Maksem.

- Tak. Starą, ale wciąż na chodzie. Czyżby w raportach wydziału zdrowia nie wspomnieli o tym?

- Nie, ale jeszcze nie doczytałam wszystkiego do końca. Co z kierowcą?

- Mamy grupę ochotników, którzy pomagają w razie wypadku, pożaru, powodzi, ale skoro jestem tu, szybciej będzie, jak sam poprowadzę. - Kiedy wsiedli do karetki i zapięli pasy, Maks podał Halley telefon komórkowy i polecił: - Wezwij Sheenę. Powiedz jej, że przywozimy Alana. Potrzebne będzie prześwietlenie głowy.

- Racja.

- Trzeba go będzie zatrzymać na noc w szpitalu - ciągnął Maks. - Ale gdybyśmy musieli go operować, to możesz zastąpić anestezjologa? - upewniał się.

- Mogę. W szpitalu w Anglii asystowałam przy wszystkich operacjach.

- Znakomicie.



- Wiesz, była dziś u mnie Mary Simpson. - Halley postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję na rozmowę o trudnej pacjentce.

- Podejrzywałem, że się do ciebie zgłosi.

- Dlaczego?

- Wydaje mi się, że woli być badana przez kobietę. W mojej obecności była zawsze bardzo skrepowana. Usiłowałem się dowiedzieć, czy planują dzieci, ale zawsze odpowiadała wymijająco. Cieszę się, że nawiązałaś z nią kontakt. Wrócimy jeszcze do tej rozmowy - dodał, podjeżdżając pod dom Alana.

Siostra chłopaka wybiegła im na spotkanie.

- Kilka minut temu odzyskał przytomność, ale mnie nie poznaje! - Kobieta była bardzo zdenerwowana.

- To się czasem zdarza, Agnes - uspokoił ją Maks. Pobiegli na górę. Alan leżał na podłodze w kuchni. - Halley, puls, ciśnienie - polecił. Wyjął z torby lekarskiej latarkę i zaczął badać źrenice chłopaka. - Reaguje na światło - zakomunikował.

- Puls lekko przyspieszony. Ciśnienie niskie - rzekła

Halley. Alan jęknął. - Już wszystko w porządku - starała się go uspokoić.

- Wiem, że czujesz się jak na karuzeli... Miej oczy zamknięte, zaraz dam ci zastrzyk - mówił do niego Maks, kontynuując badanie.

- Co mu jest? - niepokoila się Agnes.

- Chyba Alan doznał powtórnego wstrząśnienia mózgu - wyjaśnił. - Zabieramy go do szpitala.

Zszedł na dół, przyniósł nosze z karetki. W tym czasie Agnes spakowała do torby szczoteczkę i pastę do zębów, maszynkę do golenia, piżamę, zmianę bielizny. Potem ostrożnie położyli chorego na noszach i przenieśli do karetki.

- Jedź za nami, Agnes - zaproponował Maks, biorąc ją za rękę dla dodania jej otuchy. - Tylko nie staraj się mnie dogonić, bo będę jechał szybko. Zobaczymy się w szpitalu.

- Dobrze - odrzekła łamiącym się głosem. Ruszyli. Halley cały czas obserwowała Alana.

- Zaraz będziemy na miejscu - odezwał się w pewnej chwili Maks. - Jak Alan?

- Zasnął. Sheena czekała w otwartych drzwiach. Kiedy karetka się zatrzymała, podbiegła pomóc Maksowi wynieść nosze. Halley spostrzegła innych pracowników szpitala czekających w pogotowiu.

- Historia choroby Alana - powiedziała Sheena, wręczając Halley kartę. Ta szybko zapoznała się z dokumentami i wypisała zlecenie na wykonanie zdjęć rentgenowskich głowy w kilku pozycjach.

Kiedy czekali na wyniki prześwietlenia pacjenta, zagadnęła Sheenę:

- Zauważyłam, że Agnes jest znacznie starsza od brata.

- Och, między nimi jest z piętnaście lat różnicy - wyjaśniła pielęgniarka. - Po śmierci rodziców Alan wychowywał się u siostry i jej męża.

- Mają własne dzieci?

- Dwóch chłopców. Obaj pracują w Melbourne, ale od czasu do czasu wpadają do domu.

Pielęgniarka przyniosła zdjęcia. Maks szybko przypiął je do ekranu negatoskopu.

- Wszystko jak gdyby w porządku - mruknął zdziwiony.

- Czyli mogę mu zmyć tę zakrzepłą krew? - upewniła się Sheena.

- Tak. Chciałbym go zatrzymać kilka dni na obserwacji.

- Przygotuję łóżko.

- Zawiadom mnie natychmiast, gdyby nastąpiła najmniejsza chociaż zmiana w jego stanie. Ból głowy, wymioty, no wiesz.

- Oczywiście. A wy porozmawiajcie z Agnes i jedźcie do domu. Oboje z Halley wyglądacie na wykończonych.

- Ty jedź - zwrócił się Maks do Halley. - Ja zajmę się Agnes i poczekam, aż Alan będzie już spokojnie leżał w łóżku.

Halley uznała, że rzeczywiście będzie lepiej, jeśli nie zaczeka na Maksa. Zdaży wziąć prysznic i przyszykować się do snu i żadne odgłosy zza ściany nie będą jej niepokoić.

- Tak zrobię. Ale gdybym była potrzebna, dzwońcie - powiedziała. - Dobranoc.

Starła się nie patrzeć na Maksa, żeby nie napotkać jego wzroku. Potem wstąpiła jeszcze do gabinetu, zabrała stamtąd torebkę i teczkę, wreszcie wsiadła do samochodu i pojechała do domu.

Marzyła ci się wspólna kolacja, mówiła do siebie.

- A może to i lepiej? - mruknęła pod nosem, otwierając drzwi mieszkania. Rzuciła torbę i teczkę na podłogę i opadła na kanapę w salonie. Dziś koniecznie muszę się wyspać, postanowiła. Ale jak, zastanawiała się. Kanapa, niewygodna do siedzenia, do spania też się nie nadawała.

Doszła do wniosku, że jest tylko jedno wyjście. Pół godziny później wszystko było gotowe. Meble z sypialni przeniosła do salonu, a te z salonu umieściła w sypialni. To tylko do końca przyszłego tygodnia, uspokajała siebie. A teraz prysznic i spać!

Minęło jeszcze kilka godzin, zanim Maks wrócił. Zostałby w szpitalu jeszcze dłużej, gdyby Sheena nie wypchnęła go za drzwi.

- Idź do domu - błagała. - Padasz z nóg, a jutro rano przyjmiesz w Riverdam. Idź! - Podniosła jego teczkę, wcisnęła mu do ręki i odprowadziła do wyjścia. - Dobranoc.

Maks wmawiał w siebie, że jedynym powodem, dla którego tak długo został w szpitalu, była troska o stan Alana, ale w głębi duszy wiedział, że przyczyna była inna. Za wszelką cenę chciał uniknąć odgłosów dochodzących zza ściany. Ta kobieta doprowadza go do szaleństwa! A przecież nieraz miał za sąsiadkę którąś z lekarek. Tylko że one nie były Halley.

Włączył czajnik, rozwiązał krawat, poszedł do sypialni i opadł na łóżko. Ściana między sypialniami była tak cienka, że przez ostatnie trzy noce prawie oka nie zmrużył. Słyszał każdy, nawet najdrobniejszy ruch Halley.

Wiedział, że tuż przed trzecią wstanie, pójdzie do łazienki, potem wypije łyk wody. Za dziesięć szósta jej budzik głośno zadzwoni, a potem, ponieważ Halley nie reaguje, będzie dzwonił co pięć minut aż do wpół do siódmej. Pod prysznicem Halley stała przynajmniej kwadrans, nucąc przeboje. Miała miły głos, który od razu go urzekł. Maks tych wszystkich szczegółów z życia sąsiadki ani nie chciał, ani nie musiał znać, niemniej dzięki nim stawała się coraz bardziej... intrygująca. Pragnął poznać ją bliżej, dowiedzieć się, jaki jest jej ulubiony kolor, jakie książki lubi czytać, co ją cieszy, co smuci.

- Przestań! - jęknął. To szaleństwo. Zmusił się do pomyślenia o Christine i uśmiech przemknął mu po wargach. Christine lubi niebieski, czyta romanse, gotuje z pasją, a uczestniczenie w życiu miasteczka sprawia jej satysfakcję. Nie lubi natomiast psów i szparagów.

Tak, o swojej narzeczonej Maks wiedział wiele, i to przeświadczenie przyniosło mu ulgę.

- Christine - rzekł na głos. - Christine - powtórzył. Będzie wiódł cudowne życie u jej boku i byłby głupcem, gdyby zniszczył czekające ich szczęście. Odetchnął głęboko. Poczul, że ogarnia go spokój.

Szum spuszczonej wody wyrwał go z błogiego snu. Spojrzał na zegar. Druga pięćdziesiąt trzy. Punktualnie.

Nagle spostrzegł, że zasnął w ubraniu. Usiadł na łóżku, rozpiął guziki koszuli. Wsłuchiwał się bacznie w odgłosy zza ściany. Tak, teraz odkręca kran, nalewa szklanek wody.

Zaraz ze stukiem postawi ją na stoliku nocnym, potem zaskrzypią sprężyny materaca.

Tymczasem odpowiedziała mu cisza. Maks wyteżał słuch.

Może coś się stało? Wstał, przyłożył ucho do ściany. Nic. Nigdy niczego takiego nie robił, ale dzisiaj, z czystej troski o drugiego człowieka, chciał się upewnić, że z Halley wszystko w porządku. Ale z sypialni Halley nie dochodziły żadne odgłosy.

Zapomnij o niej, nakazał sobie surowo. Umył zęby, przebrał się w piżamę. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślał jeszcze, ale w końcu zmęczenie wzięło górę i zasnął.

Następnego dnia obudził się z dziwnym uczuciem, że coś jest nie tak jak powinno, lecz nie potrafił określić co. Powoli otworzył oczy i spojrzał w sufit. Światło dnia sączyło się przez zasłony, tworząc na ścianach esy - floresy.

Starał się przypomnieć sobie, co to za dzień.

- Piątek - powiedział na głos. Dziwne uczucie spotęgowało się. Ogarnięty paniką spojrzał na budzik. - Ósma trzydzieści!

Jak oparzony wyskoczył z łóżka. Nie, nie. To jakaś pomyłka. Chwycił zegarek, który zawsze odkładał na stoliku nocnym. Nie, nie, to nie może być prawda!

Pięć minut później, umyty i ubrany wybiegał z domu.

Nigdy w życiu nie spał tak mocno jak dziś. Nigdy w życiu nie spóźnił się do pracy. Na szczęście do szpitala było pięć minut jazdy, ale dzisiaj dojechał tam jeszcze szybciej.

- Do diabła z Halley Ryan! - mrucał pod nosem. Dlaczego ten jej piekielny budzik dziś go nie obudził?

Dlaczego zapomniał nastawić swój? Co się z nim dzieje? Do diabła z tą cholerną babą!

- Dzień dobry - powitała go Sheena.

- Dzień dobry. Jak Alan?

- Dobrze. Halley już do niego zaglądała.

- To miło, ale wolałbym sam go zbadać.

Skończywszy z Alanem, Maks poszedł do swojego gabinetu. Tam zgarnął karty pacjentów z Riverdam i wepchnął do teczki. Przychodnię otwierają za dwadzieścia minut, więc jeśli się nie pośpieszą, to i tam się spóźni. Maks zazgrzytał zębami. Wszystko przez Halley. Szybko wyszedł na korytarz.

- Za dwadzieścia minut musimy być w Riverdam - rzucił, wtykając głowę w otwarte drzwi jej gabinetu. - Pojedziemy moim samochodem - dodał już w biegu.

Halley poderwała się, chwyciła płaszcz i wybiegła za nim. Co w niego dzisiaj wstąpiło? Przypomniała sobie zdziwienie Sheeny, kiedy zjawiała się pierwsza, przed Maksem. Cóż, pewnie zasnął. Ale dzisiaj i ona nareszcie się wyspała. Nie słyszała żadnego dźwięku z mieszkania obok, chociaż śniło jej się, że oboje z Maksem byli na bezludnej wyspie i miło spędzali czas, zanim dotarli do nich ratownicy.

Uśmiechnęła się do siebie rozmarzona, lecz szum włączonego silnika samochodu przywołał ją do rzeczywistości. Maks siedział za kierownicą i niecierpliwił się.

- Jak twoje samopoczucie? - spytała, kiedy wyjeżdżali ze szpitalnego parkingu na główną drogę.

- Chyba widać - odburknął.

- Ktoś wstał lewą nogą! - Zaczęła się z nim droczyć.

- Przestań. Nie jestem w nastroju do żartów.
  - Przepraszam. W ciszy, jaka nastąpiła po tej wymianie zdań, Halley zastanawiała się, co takiego zrobiła, czym rozzłościła Maksa, ale nic nie przychodziło jej do głowy.
  - Może powinniśmy porozmawiać - zaproponowała po pięciu minutach takiej jazdy. - Wyrzuc z siebie, co cię gnębi.
  - Naprawdę chcesz usłyszeć? - spytał szorstko. - Dobra. Ostatnio nie spałem dobrze z powodu twojego nocnego markowania.
  - Mojego marko...? O czym ty mówisz?
  - O tym, że około trzeciej nad ranem idziesz do łazienki, a potem pijesz wodę. Przez te cienkie ściany przenika każdy najdrobniejszy dźwięk. Każdy! - dodał przez zęby.
- Halley myślała, że się przesłyszała.
- Dlaczego wściekasz się na mnie? Nic na to nie poradzę, że ściany są cienkie jak z papieru. A tak na marginesie, ja też nie mogłam spać przez te kilka nocy.
  - I to moja wina?
  - A dlaczego ty obwiniasz mnie? Od jak dawna mieszkasz w tym bliźniaku?
  - A co to ma do rzeczy?
  - Chyba zdążyłeś się przyzwyczaić do odgłosów zza ściany.
  - Zdążyłem, ale to co innego. - Odrobinę podniósł głos.
  - Czy zachowuję się głośniej niż poprzedni lokatorzy?
  - I ten twój budzik!
  - Co masz do mojego budzika?
  - Dzwoni co pięć minut przez co najmniej godzinę, i to o świcie!
- Halley minął cały gniew.
- Przepraszam. - Maks nie wiedział, czy mówi serio, czy znowu się z nim droczy. - Ale dzisiaj chyba cię nie obudził?
- Maks roześmiał się ponuro.

- Dziś nie!

- To dlaczego jesteś taki zły? Bezradnym gestem przeczesał palcami włosy.

- Bo zapomniałem nastawić własny i dlatego zasnęłam. Wybuchnęła śmiechem. Najpierw narzeka na hałasy, a potem przyznaje się, że liczył na jej budzik!

- Och, Maks! Też się roześmiał.

- Dlaczego pozwalasz mu tak wydzwaniać?

- Bo rano nie mogę się obudzić.

- A dziś rano wstałaś bez budzika?

- Nie.

- Niczego nie słyszałem.

- I nie usłyszysz. - Przymknęła powieki, szukając właściwych słów, by wyznać prawdę. - Zrobiłam... małe przemeblowanie.

Maks odwrócił gwałtownie głowę.

- Dlaczego?

- Bo lubię zmiany.

- Spędziłaś tu zaledwie cztery dni i już potrzebowałaś zmiany?

- Tak. Co w tym złego?

- To gdzie teraz śpisz? - spytał po chwili.

- W salonie.

- Aha.

- Przed wyjazdem znów poustawiam meble tak jak były - obiecała.

- Czy aż tak bardzo ci przeszkadzałem? - spytał nieśmiało. - Halley?

Sposób, w jaki wypowiedział jej imię, przyprawił ją o dreszczyk podniecenia.

- Tak.

- Czyli ja nie daję ci spokoju?



- Nie dajesz - powtórzyła lekko schrypniętym głosem. Wzięła głęboki oddech i dodała: - W domu, w szpitalu. Tu w samochodzie też.

- Aha - powiedział powoli.

- Po tym, do czego prawie doszło między nami wczoraj, sądzę, że ja działałam na ciebie podobnie. - Nie była pewna, czy powinna mówić takie rzeczy mężczyźnie zaręczonemu z inną kobietą, ale trudno. - Nie róbmy z tego problemu - ciągnęła. - Jesteśmy dorośli, możemy się przyznać do tego, że czujemy coś do siebie. Ty masz narzeczoną, ja pod koniec przyszłego tygodnia wyjadę. I to wszystko. Nic złego się nie stanie. Prawda?

Milczał. Dłonie zacisnął na kierownicy tak mocno, że kostki palców mu zbieleły.

- Prawda - odparł po chwili.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Spodziewała się, że podróż powrotna do Heartfield upłynie w milczeniu, ale się pomyliła. Przez większość drogi rozmawiali z Maksem o literaturze medycznej i wymieniali doświadczenia.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że studiowaliśmy na tej samej uczelni - powiedziała. - Zawsze mnie zadziwia, jak ludzkie drogi się krzyżują. Przecież mogliśmy mijać się na korytarzu. Albo siedzieć obok siebie na wykładzie.

- Zapominasz, że kiedy ty zaczynałaś, ja kończyłem studia. Między nami jest siedem lat różnicy.

- No tak. - W milczeniu wyglądała przez okno. - Niemniej to ciekawe, jak ludzkie losy się splatają. - Maks milczał. - Na przykład Alan zna moich braci - ciągnęła.

- Raczej słyszał o nich - sprostował.

- Tego nie wiem. Możliwe, że kiedyś zamienili ze sobą kilka słów.

- Możliwe.

- A pamiętasz profesora Fitzpatricka z Akademii?

- Oczywiście. Bardzo go lubiłem.

- To mój wujek. Widzisz, jaki świat jest mały?

- Jesteście chyba bardzo zżytą rodziną...

- Tak.

Maks milczał chwilę.

- To musi być przyjemne.

- Bardzo. Rozumiem, że twoja rodzina była zupełnie inna - zaczęła nieśmiało.

- Ktoś z tobą rozmawiał na mój temat?

- Nie. Słucham tego, co mówisz i w jaki sposób mówisz, i wyciągam wnioski. Skrywasz ogromny uraz psychiczny.

- Niczego nie skry...

- Boisz się przed kimś otworzyć.

- Nie zapominaj, że mam narzeczoną.

- Ja mówię o czym innym. Zamykasz się w sobie, odgradzasz murem od ludzi, boisz się przykrości, bólu, wolisz zachować pełną kontrolę nad każdym aspektem swojego życia.

- Czy jest w tym coś złego?

- Chyba nie. O ile sam z tego powodu nie cierpisz.

- Nie cierpię.

- Tego nie powiedziałam.

- Ale implikowałeś.

- Twoja reakcja dowodzi, że trafiłam w czułe miejsce - zaripostowała. - To nie moja wina, że pochodzę z kochającej się rodziny. Mówię tylko, że jesteśmy kowalami własnego losu.

- Nie narzekam. Jestem szczęśliwy - odburknął Maks.

- Naprawdę? - spytała. Chciała naśladować jego ton, ale nie wytrzymała i roześmiała się.

- Naśmiewasz się ze mnie.

- Och, Maks! - westchnęła. - Siedzisz naburmuszony, ręce zaciskasz na kierownicy i twierdzisz, że jesteś szczęśliwy. Wystarczy na ciebie spojrzeć! Śmieję się z tej niekonsekwencji, a nie z ciebie - dodała łagodnym tonem.

Spodziewała się, że pojedą prosto do szpitala, ale Maks minął budynek i jechał dalej.

- Gdzie mnie wieszysz? - spytała.

- Masz dziś przy sobie pieniądze?

- Mam.

- To dobrze. Postawisz mi lunch. Nie jadłem śniadania i umieram z głodu. - Zaparkował przed piekarnią. - Zjadłbym konia z kopytami.

Halley wybuchnęła śmiechem.

- W takim razie powinnam zacząć od wizyty w banku

- powiedziała.

- Christine! - zawołał nagle Maks. - Co za niespodzianka!  
- Ucałował narzeczoną w policzek. - Halley i ja właśnie szliśmy coś zjeść. Przyłączysz się do nas? - Puścił do Halley oko. - Ona funduje - dodał.

- Z przyjemnością, ale może Halley ma coś...

- Ależ skąd. Zapraszam.

Podczas lunchu Halley obserwowała Christine. Zauważyła, że dziewczyna ustępuje Maksowi we wszystkim i że nerwowo bawi się sznurem perełek na szyi. Czyżby Maks ją peszył?

Na deser Maks i Halley zamówili pączki i kawę.

- Wspaniale - oznajmiła Halley, oblizując wargi. - Mogłabym tak zawsze.

- Jeść w mieście? - zdziwiła się Christine. - A kalorie?

- Co tam kalorie! - Halley wzruszyła ramionami. - Przecież jestem w ciągłym biegu.

- A poza tym Halley uprawia wspinaczkę - wtrącił Maks.

- Alan Kempsey twierdzi, że ona i jej bracia to ważne osoby w tych kręgach.

- Naprawdę? - Christine nie ukrywała zdziwienia. - Wspinaczkę? Ale to taki, taki...

- Męski sport? Nie przystoi kobiecie? Tak? - odgadła Halley. Przy pierwszym poznaniu narzeczonego Maksa wydała jej się snobką, ale teraz zmieniła zdanie. Dziewczyna była po prostu nieśmiała. Nic dziwnego, przy takim ojcu. - Może i tak - ciągnęła - ale we mnie wyzwala pozytywną energię. Ale, ale, moi bracia planują małą wspinaczkę w weekend.

- W ten weekend? - zdziwił się Maks.

- Tak. Przyjeżdżają jutro przed południem. Jowisz obiecał zadzwonić jeszcze dziś i podać dokładnie kiedy.

- Jowisz? - powtórzyła Christine, a Maks wyjaśnił jej pochodzenie przezwisk. Halley zauważyła, że ani słowem nie wspomniał o ich rodzinnej firmie. Ciekawe dlaczego?

- Musicie pojechać z nami. Zobaczycie, na czym to polega. A może zechcecie sami spróbować?

Maks spojrział na nią przeciągle i powiedział:

- Może. No... na nas czas - dodał. - Zobaczmy się na kolacji - mruknął do narzeczonej.

- Jeszcze raz dziękuję za lunch. - Christine uśmiechnęła się do Halley.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Halley.

- A więc wybieracie się jutro na wspinaczkę? - zagadnął Maks, kiedy już siedzieli w samochodzie.

- Chyba tak. - Halley zauważyła, że jej towarzysz znowu jest bardzo spięty. - O co tym razem chodzi? - spytała.

- Nie rozumiem.

- Znowu jesteś zdenerwowany.

- Skąd wiesz?

- Bo kurczowo trzymasz kierownicę i zaciskasz szczęki.

O co chodzi? Powiedz. Czy mam uzgadniać z tobą plany na weekend?

- Dobrze by było. W poniedziałek, kiedy byliśmy u Alana, nie wspominałaś o wizycie braci.

- Bo sama jeszcze o niej nie wiedziałam. Marty zadzwonił z tym pomysłem dopiero w środę.

- Proszę, proszę. A więc planety nawiedzą nasze miasto. A propos, jak ciebie przezywają? Po prostu Kometą?

- Nie. Mówią do mnie Halley, a czasami... czasami nazywają mnie pieszczotliwie Mała. - Maks roześmiał się. - Wiedziałam, że ci się to spodoba - powiedziała. - Jestem pewna, że od razu przypadniecie sobie z moimi braćmi do gustu.

- Alanowi za to będzie przykro, że omija go taka gratka.

- Może go nie ominie.

- Chciałbym go zatrzymać na obserwacji na kolejne czterdzieści osiem godzin.

- Nie ma problemu. Jestem pewna, że chłopcy chętnie wpadną do niego do szpitala. A jeszcze będzie okazja, żeby Alan zobaczył ich w akcji - zauważyła Halley.

W szpitalu spakowała leki i środki opatrunkowe potrzebne jej podczas wizyt, a kiedy wychodziła, natknęła się na Maksę.

- Po południu będę na posiedzeniu rady miejskiej - oznajmił - ale gdybyś czegoś potrzebowała, daj mi sygnał pagerem.

- Nie lubisz tych posiedzeń?

- Nie znoszę.

- Mąż Mary Simpson też będzie, tak? - upewniła się.

- Tak. Co knujesz? - Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Nic. Pomyślałam, że zajrzę do niej, zobaczę, jak się czuje po naszej wczorajszej rozmowie.

- Może nie być zadowolona z wizyty.

- Niemniej zaryzykuję. Jak nie ryzykujesz, nic nie zyskujesz. A tobie życzę miłego spotkania z Danem.

- Hm. Jadąc do Clarabelle, Halley analizowała w myśli przebieg lunchu z jej wnuczką. Słodka, to było najlepsze określenie dziewczyny. Jak na dłoni widziała, dlaczego wzbudzała w Maksie uczucia opiekuńcze. Każdy mężczyzna starałby się ochraniać Christine przed jej despotycznym ojcem.

Na podjeździe przed domem stał już jakiś samochód. Halley zaparkowała obok. Ciekawa była, kto odwiedza starszą panią. Nie Kylie, jej auto znała, no i nie Dan, bo jest na zebraniu. Przywitała się z psami i weszła do środka.

- Jesteś trochę później, moja droga - powitała ją Clarabelle. - Christine właśnie mi opowiadała o waszym wspólnym lunchu - dodała.

- Było bardzo miło - przyznała Halley. - Proponuję, żebyśmy najpierw zajęły się opatrunkiem, a potem pogadamy.

- To ja już pójdę - wtrąciła Christine.

- Nie, nie - zaproponowała Halley. - To nie potrwa długo. Proszę zostać, jeśli możesz.

- Oczywiście, że może - odrzekła za nią babka.

Halley przeczytała notatki Kylie, która rano zmieniła opatrunek na nodze chorej. Rana goiła się powoli, ale prawidłowo, i pielęgniarka była zadowolona.

- Maks wyjaśnił ci, jak masz postępować, żeby rana się nie odnowiła? - spytała.

- Och tak. Maks zawsze informuje chorych, co ich czeka - powiedziała Clarabelle. - Kilka razy mi wszystko wyjaśniał, żebym dobrze zrozumiała.

- Świetnie - mruknęła Halley, zapisując w karcie swoje spostrzeżenia.

- Maks jest wspaniałym lekarzem - wtrąciła Christine.

- Tak dba o pacjentów...

- Tak.

- Bez niego czułabym się zupełnie zagubiona - ciągnęła dziewczyna. - Kiedy pięć lat temu zmarła mamusia, kompletnie bym się załamała, gdyby nie troska, jaką okazał mi Maks.

Clarabelle poklepała wnuczkę po ręce.

- Wszystkim pomógł przetrwać trudne chwile. Dan miejsca sobie znaleźć nie mógł - powiedziała.

- Kiedy planujecie ślub? - wtrąciła Halley.

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie ustaliliśmy daty - wyznała Christine, obracając pierścionek zaręczynowy na palcu. Halley zdziwiła się, ale nie dała tego po sobie poznać. - Dużo par trwa w długim narzeczeństwie - dodała poważnie.

- Nie rozumiem, co was powstrzymuje - odezwała się Clarabelle swoim rzeczowym tonem.

- Jeśli chodzi o Maksa, to na pewno sprawa ojca - odparła Christine, podnosząc wzrok i patrząc na babkę.

- Ojca? - spytała Halley.

- Zmarł kilka miesięcy temu - wyjaśniła Christine. - Maks był ciągle zajęty albo ojcem, albo pacjentami. Co pół roku przyjeżdża do nas inny lekarz. A teraz jeszcze ty na wizytację...

- Nie ma czasu na ślub? Tak?

- Ja nie narzekam, chociaż czasami...

- No mów, dziecko - zachęcała babka.

- Czasami miałabym ochotę wyjechać z Heartfield. Halley była wstrząśnięta.

- Nigdy stąd nie wyjeżdżałaś?

- Och, tak, wyjeżdżałam, dwukrotnie byłam w Melbourne, a w Geelong nawet nie wiem ile razy, ale... ale to było wtedy, kiedy żyła mamusia. Tatuś nie lubi, jak mnie nie ma. Twierdzi, że jestem mu potrzebna i że kobiety lubią czuć się potrzebne.

- Pff! - prychnęła Clarabelle. - Ten mój synalek bardzo przypomina swojego ojca. - Spojrzała na Halley i wyjaśniła: - Byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem, ale mój mąż miał takie same poglądy jak Dan. Dan byłby inny, gdyby miał rodzeństwo, szczególnie siostra miałaby na niego zbawienny wpływ. - Clarabelle westchnęła. - Dopiero po śmierci męża, dziesięć lat temu, zaczęłam żyć tak, jak zawsze pragnęłam. Podróżowałam, niezdrowo się odżywiałam... Ach! - Machnęła ręką. - Było cudownie.

Halley pokiwała głową.

- Wiem, co masz na myśli. Pracując w Anglii, skorzystałam z okazji, żeby pojeździć po Europie. Poznanie innej kultury pomaga człowiekowi określić się. Kocham moją rodzinę, ale rozłąka dobrze mi zrobiła. Odnalazłam siebie,

- To wspaniale - westchnęła Christine z zazdrością.

- Powinnaś brać przykład, moje dziecko - zasugerowała babka. - Zadzwoń do biura podróży w Geelong i zapisz się na jakąś wycieczkę zagraniczną.



- Nie, nie mogę. Co by tatuś powiedział?

- Nie myśl o ojcu, ale o sobie, moja droga - poradziła babka. - Nigdy naprawdę nie zaznasz życia, jeśli nie stawisz mu czoła. Czego tak naprawdę pragniesz? O czym marzysz?

Christine oblała się rumieńcem.

- Nie wiem - wyszeptała.

- To przynajmniej się nad tym zastanów, dobrze, kochanie? - poprosiła Clarabelle.

Ostry dzwonek telefonu komórkowego Halley przerwał im rozmowę.

- Doktor Ryan - powiedziała Halley.

- Mała? - Rozpromieniła się, słysząc głos brata. - Wszystko załatwione - mówił Jowisz. - Będziemy z Martym przed lunchem i zaraz wyruszamy na wspinaczkę.

- Świetnie. Rozmawiałam już z członkami tutejszego klubu. Cieszę się na spotkanie z wami. Będziecie mogli zostać na noc?

- Oczywiście, że tak. Nie chcemy, żeby ominęła nas ta feta, o której mówiłaś.

- No to do zobaczenia.

- Do jutra. .

- Musicie być bardzo kochającym się rodzeństwem - stwierdziła Clarabelle.

- Och, tak. Nie widziałam moich braci tydzień i już się za nimi stęskniłam.

- Szkoda, że nie mam brata - westchnęła Christine. - Ani siostry.

Halley posmutniała. Poczuli się wybranką losu. Miała dwóch braci i kochających rodziców.

Spojrzała na zegarek. Czekają ją jeszcze trzy wizyty, więc pożegnała się szybko i wyruszyła w dalszą drogę. Kilka minut po czwartej była już wolna. Z pomocą mapy odnalazła dom Mary Simpson. Był położony niedaleko od miasteczka i

odznaczał się nieskazitelnie utrzymanym trawnikiem. Halley dwukrotnie zastukała wypolerowaną kołatką. Cisza. Czyżby Mary wyszła?

Kątem oka dostrzegła drgnienie firanki w oknie. Przypomniało jej się ostrzeżenie Maksa. Uprzedził ją, że Mary może nie życzyć sobie tych odwiedzin. Zapukała ponownie.

- Mary? To ja, Halley! - Żadnej reakcji. - Mary? - powtórzyła, jeszcze raz stukając kołatką. Tym razem usłyszała lekkie kroki wewnątrz domu.

- Szybko - szepnęła Mary, uchylając drzwi, i niemal wciągając gościa do środka. Potem pobiegła do okna, wyjrzała i stwierdziła z westchnieniem ulgi: - Dzięki Bogu, chyba nikt z sąsiadów nie widział. - Halley zauważyła, że Mary płakała. - Po co przyszłaś? - spytała.

- Martwiłam się o ciebie.

- Nie ma potrzeby.

- Posłuchaj, Mary, widzę, że płakałaś. Proszę, opowiedz mi, co cię gnębi.

Mary zawahała się.

- Nie mogę. Bernard zaraz wróci i nie chcę, żeby cię tutaj zastał.

- Rozumiem. Ale chwilę możemy porozmawiać, prawda? Może zrobisz herbatę?

- Dobrze - zgodziła się Mary w końcu i poszła do kuchni nastawić czajnik.

Halley skorzystała z okazji i zadzwoniła do Maksa.

- Jestem u Mary. Daj mi znać, kiedy zebranie się skończy, dobrze? Ona nie chce, żeby Bernard dowiedział się o mojej wizycie.

- Załatwione. Weszła Mary.

- Pijesz z mlekiem, cukrem? - spytała. Cały czas zaniepokojona patrzyła na okno.

- Może wypijemy w kuchni? - zaproponowała Halley. A kiedy już siedziały przy kuchennym stole, spytała: - Masz jakieś pytania dotyczące naszej wczorajszej rozmowy?

- Nie, chyba wszystko jest jasne. Muszę tylko poczekać, aż... aż cykl się zacznie, żeby zrobić wykres.

Halley sięgnęła po domowe biszkopty.

- Hm. Wyśmienite - pochwaliła.

- Oj, takie zwykłe ciastka . - Nie bądź taka skromna, Mary. Podziwiam ludzi, którzy potrafią gotować.

- Lubię piec ciasta. Odpreżam się przy tym. Zawsze coś piekę, kiedy urządzamy bożonarodzeniowy bal. No i kiedy przyjeżdża nowy lekarz, też coś dokładam.

- Na przykład tort czekoladowy? - Mary zarumieniła się.

- Był przepyszny - pochwaliła Halley. Czowała, że jej rozmówczynie mobilizuje się wewnętrznie do zadania jej jakiegoś pytania, i czekała cierpliwie.

- Byłaś kiedyś zakochana? - spytała Mary, a Halley omal nie zachłysnęła się herbatą. - Przepraszam - usprawiedliwiała się Mary. - Nie powinnam zadawać tak osobistych pytań.

- Nie, nie. Wszystko w porządku - uspakajała ją Halley, wciąż kaszląc. - Zakochana, tak? - Przed oczami przemknęła jej twarz Maksa, ale siłą woli odsunęła tę myśl od siebie.

- Nie, zakochana nigdy nie byłam. Mama zawsze mi powtarzała, że kiedy się zakocham, po prostu będę wiedziała, że to ten mężczyzna. Mówiła, że to stan tak zaraźliwy jak śmiech, tak obezwładniający jak kichanie i czasami tak uprzykrzony jak czkawka.

- Twoja mama musi być miłą kobietą.

- I jest.

- Masz rodzeństwo?

- Dwóch braci. A ty?

- Jestem jedynaczką. Bernard też jest jedynakiem. Mówiłam ci, że pracował u mojego tatusia, prawda? - Halley

kiwnęła głową. - Już trzy lata jesteśmy po ślubie i... Bernard jest dobrym człowiekiem, bardzo rozsądnym i troskliwym, ale...

- Mów, proszę - zachęcała ją Halley. - Ale co?

- Trochę się niecierpliwi, że do tej pory nie zaszłam w ciążę - wyrzuciła z siebie Mary i odetchnęła z ulgą. - Próbowałam wyjaśnić mu wszystko, co mówiłaś o cyklu, ale on nie chciał słuchać. Powiedział, że to babskie gadanie, i że jedyny sposób to, to... no wiesz.

- Rozumiem. A ty, co o tym myślisz?

- Ja... ja... - Mary zaczęła łkać. Halley podeszła i objęła ją.

- Już dobrze. Coś poradzimy.

- Mnie wtedy wszystko tam boli - łkała kobieta. Ostry brzęczyk telefonu komórkowego Halley przerwał im rozmowę w najważniejszym momencie.

- Doktor Ryan - powiedziała, wiedząc, że to Maks.

- Właśnie skończyliśmy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- To był doktor Pearson - powiedziała Halley. - Prosiłam, żeby dał mi znać, kiedy zebranie się skończy.

- Ale w ten sposób on... on... się wszystkiego do... - przeraziła się Mary.

- Posłuchaj, doktor Pearson jest twoim stałym lekarzem, a ja za tydzień wyjeżdżam. Jestem tu bardzo krótko - tłumaczyła Halley. - Muszę go informować o wszystkim, co dotyczy pacjentów, ale możesz być spokojna, że to, o czym mówimy, jest objęte tajemnicą lekarską. Doktor Pearson to wspaniały człowiek, który chce ci pomóc. Przyjdź do mnie do szpitala w poniedziałek - dodała.

- Chyba nie...

- Wtedy dokończymy naszą rozmowę. - Halley ujęła dłoń Mary i uściśniła ją. - Dokonałaś właśnie wielkiego wyczynu, przełamałaś bariery wewnętrzne. Przyjdź w poniedziałek, a przedtem, czyli jutro, zobaczymy się na balu. - Widząc błysk radości w oczach Mary, Halley dodała: - Teraz lepiej. No, czas na mnie.

- Dziękuję za wszystko, pani doktor - rzekła Mary, odprowadzając Halley do drzwi.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Idąc do samochodu, Halley zauważyła panią Smythe stojącą przy skrzynce na listy po drugiej stronie ulicy i bacznie obserwującą, co się dzieje w domu naprzeciwko.

- Dzień dobry - powiedziała i podeszła do starszej kobiety. - Czy bardzo dokucza pani artretyzm?

- Nie daje o sobie zapomnieć - odparła pani Smythe i wskazując dom Simpsonów, spytała: - Wszystko u nich w porządku?

- W absolutnym - zapewniła ją Halley. - Dowiedziałam się, że to Mary upiekła ten pyszny tort czekoladowy, który

zastałam w lodówce, i po prostu musiałam jej za niego podziękować. Uwielbiam czekoladę.

- Naprawdę? A zapiekanka? Też smakowała? To z kolei ja przyrządziłam.

- Nie wiedziałam. Zjadłam ją w środę. Boska. W mieście jest tyle znakomitych kucharek, że miałabym ochotę codziennie wpraszać się na kolację do innej rodziny.

Pani Smythe roześmiała się.

- Słyszałam, że dwukrotnie jadła pani w piekarni.

- Więc się pewnie pani domyśla, że nie lubię gotować.

- Przyniosę następną zapiekankę - obiecała pani Smythe.

- Naprawdę bardzo dziękuję, ale... - Z samochodu dobiegł dzwonek telefonu. - Przepraszam, miło mi było... - rzuciła, i pobiegła do jaguara, by odebrać telefon.

- Mała?

- Marty? Źle cię słyszę. Możesz zadzwonić jeszcze... - Połączenie zostało przerwane.

Wzruszyła ramionami, zapaliła silnik i ruszyła.

Maks zatrzymał samochód przed garażem i zmęczony wysiadł. Nie znosił zebrań, a posiedzeń rady miejskiej w szczególności. Właśnie wkładał klucz do zamka, gdy usłyszał wizg opon. Obejrzał się i zobaczył czerwonego porsche. Sekundę później z przeciwnej strony nadszedł jaguar Halley, a ona sama wyskoczyła z auta i jak strzała pomknęła przez trawnik. Kierowca porsche rozpostarł ramiona, złapał Halley, uniósł do góry i okręcił się z nią w kółko.

Maks zacisnął zęby, widząc, jak Halley czule obejmuje nieznanego i całuje w policzek.

- Maks! Maks! - Halley chwyciła mężczyznę za rękę i pociągnęła za sobą. - Poznaj mojego brata Marty'ego. - Mężczyźni podali sobie ręce. - Skąd się tu wzięłeś, braciszku? - dziwiła się.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- I udało ci się. Jon mówił, że przyjedziecie dopiero jutro w porze lunchu. A on wie, że tu jesteś?

- Nie - oświadczył Marty i wzruszył ramionami. - Ale możemy do niego zadzwonić.

- To ja zostawię was samych - wtrącił Maks i pchnął drzwi.

- Może zjemy razem kolację? - zaproponowała Halley.

- Świetnie, pod warunkiem, że nie będziesz gotowała. Halley roześmiała się.

- Widziałam chińską restaurację w mieście. Wybierzmy się tam. Wpół do ósmej? Odpowiada ci?

- Nie wiem jeszcze...

- Zadzwonię do Christine i ją też zaproszę. Dobrze?

- Kim jest Christine? - zaciekał się Marty.

- Narzeczoną Maksa.

- Jesteś zaręczony? - zdziwił się brat Halley.

- Czy jest w tym coś złego? - obruszył się Maks.

- Nie, nic. - Marty spojrzał na Halley, która nieznacznie potrząsnęła głową.

- No to jesteśmy umówieni - stwierdziła Halley.

- Ale ja sam zadzwonię do Christine - oświadczył Maks.

- Za to jutro chciałbym się z tobą spotkać i omówić postępy w twojej pracy - dodał.

- Dobrze - zgodziła się, z trudem opanowując śmiech.

- Wydawało mi się, że nie lubisz roboczych spotkań..

- W życiu nie zawsze robimy to, co lubimy - ripostował Maks. - O ósmej?

- Dobrze.

- No to do zobaczenia później - rzucił Maks i zniknął w drzwiach swojego mieszkania.

Zostawił teczkę w gabinecie, potem poszedł do kuchni i włączył czajnik. Opadł na krzesło przy kuchennym stole i ukrył twarz w dłoniach. Weź się w garść, mówił do siebie w

duchu. W każdym słowie wypowiedzianym przez Halley doszukiwał się teraz ukrytych znaczeń.

Czy naprawdę chce, żebyśmy razem zjedli kolację? Czy może wykorzystuje obecność brata, żeby spędzić czas w moim towarzystwie? Co prawda zaprosiła też Christine, ale może to tylko wybieg? Przecież nie dalej jak dziś rano przyznała się, że jej się podobam, ale że nic między nami nie może się zdarzyć. Więc może rzeczywiście to tylko niewinne zaproszenie?

- Wybij ją sobie z głowy - mruknął pod nosem. - Ona nie jest dla ciebie. Nawet nie umie gotować.

Wstał, poszedł do gabinetu, zadzwonił do Christine.

- To tak nagle... - wahała się.

- Cała Halley - odparł Maks, masując skronie.

- Tak. Ona jest bardzo spontaniczna - zauważyła Christine.

- A skąd ty to wiesz? - zdziwił się Maks. - Przecież rozmawiałaś z nią tylko wczoraj podczas lunchu.

- Nie, głuptasie. - Christine zachichotała. Maks przełożył słuchawkę do drugiej ręki. - Spotkałyśmy się dzisiaj u babci.

- Aha. Więc jak? Pójdiesz?

- Dlaczego nie? Podam tatusiowi kolację i przyjadę do restauracji.

- Nie, nie. To ja przyjadę po ciebie o wpół do ósmej.

- Dobrze - odrzekła Christine. Maks pomyślał, że dawno nie słyszał jej tak uradowanej. - Do zobaczenia.

Wolno odłożył słuchawkę na widełki. Jak radykalnie zmieniło się moje uregulowane życie, pomyślał.

Zza ściany dobiegł nagle głośny wybuch śmiechu. Halley Ryan. To jest odpowiedź. Ta kobieta wkroczyła nagle w jego życie i wyróciła je do góry nogami. A jest tu zaledwie pięć dni! Dla niego było to pięć dni balansowania na linie. A



najdziwniejsze jest to, że zaczął się przyzwyczajać do tej szczypty emocji.

- Nic nie wspomniałaś, że Maks jest zaręczony - zauważył Marty.

- Nie? - spytała Halley zdziwiona.

- Posłuchaj. - Marty przybrał ton starszego brata. - Sposób, w jaki opowiadałaś mi o nim przez telefon, wskazywał na duże zainteresowanie jego o s o b ą . A on nie jest do wzięcia.

- Wiem - odparła z ciężkim westchnieniem. - Ale to bez różnicy, czy on mi się podoba czy nie. I tak nic z tego nie będzie. Więc... więc im szybciej uporam się z tą robotą, tym lepiej.

- Zakochałaś się w nim?

- Skądże - obruszyła się. - Prawie go nie znam. To tylko pociąg fizyczny, a takie zauroczenie z czasem mija. Nie, nie. Do zakochania potrzeba mi pokrewnej duszy. Weźmy naszych rodziców...

Marty pokiwał głową.

- Zgadza się z tobą - powiedział.

- Jak się prezentuję? - spytała Halley, obracając się na pięcie. Włożyła czarne spodnie i rdzawobrazową górę. Wyglądała elegancko, ale zwyczajnie, bez ekstrawagancji.

- Na pewno nie jesteś w nim zakochana? - spytał Marty z powątpiewaniem.

Halley wybuchnęła śmiechem.

- Gdybym była, włożyłabym spódnice.

- Zapamiętam. Chodźmy. Kolacja upłynęła w przyjemnym nastroju i Halley była

zadowolona, że udało się jej nakłonić Maksa do spędzenia wieczoru we czwórkę. Christine z początku była trochę skrepowana obecnością Marty'ego, ale szybko się odprężyła.

Brat Halley zabawiał towarzystwo opowiadaniem o przygodach wspinaczkowych i siostra słuchała go z prawdziwą przyjemnością.

- Halley potrafi pokonać ścianę w zadziwiająco szybkim tempie, jak na kogoś jej wzrostu - mówił. - To jeden z powodów, dla którego zyskała przezwisko Kometa. Drugi jest oczywisty - dodał z uśmiechem. - Ale nigdy nie zapomnę tego jej upadku, zresztą zdarzyło się to tu, w Grampianach. Ile wtedy miałaś lat?

- Dwadzieścia. To było dziesięć lat temu. Ale nie nudźmy Maksa i Christine.

- Ja chcę posłuchać - prosiła Christine.

- Wspinaliśmy się z grupą średnio zaawansowaną i byliśmy już w połowie drogi, kiedy jeden z chłopaków dostał zawrotu głowy. Przykuło go do miejsca. Trzeba go było szybko przetransportować w dół. Halley znajdowała się najbliżej, więc spięła się z nim liną i zaczęła namawiać do zejścia. Byli już prawie u podnóża ściany, kiedy facet puścił się i spadł. A ona z nim.

- Boże! - wykrzyknęła Christine. Maks zaś po prostu wpatrywał się w Halley w osłupieniu.

- Gdyby spadli z tylko odrobinę większej wysokości, zabiliby się.

- Drzewa zamortyzowały nasz upadek - wtrąciła Halley i wzruszyła ramionami.

- Ona miała nogę złamaną w trzech miejscach, dwa żebra pęknięte i zwichnięty nadgarstek. Trochę trwało, zanim doszła do siebie. A wicie, czym się zajęła podczas rekonwalescencji?

- Czym? - dopytywała się zafascynowana Christine.

- Doktoratem. Mówię wam, kiedy moja siostra wbije sobie coś do głowy, nic, absolutnie nic, jej nie powstrzyma.

- Nie wiedziałem - mruknął Maks i spojrzał na Halley z podziwem.

- Nie było okazji o tym rozmawiać. Chciałabym kiedyś zrobić specjalizację z chirurgii ogólnej, jak ty - Halley zwróciła się do Maksa - ale wszystko rozbija się o brak czasu. Przez ostatnie kilka lat byłam w ciągłych rozjazdach.

- Gdzie się teraz wybierasz? - spytała Christine.

- Nie jestem pewna. Nie mam nagranego niczego konkretnego. Prawdę powiedziawszy, marzy mi się kilkumiesięczny urlop.

- Dlaczego?

- Och, tyle się napodróżowała - Marty wyręczył siostrę w odpowiedzi - że należy jej się odpoczynek od tego koczowniczego życia.

- Ja tego tak nie nazywam - zachnęła się Halley.

- Podróże... To... musi być cudowne. - Christine westchnęła tęsknie. Halley zerknęła na Maksa wyraźnie niezadowolonego z wyznania narzeczonej. - A ty też dużo podróżowałaś? - spytała Marty'ego.

Marty odpowiedział twierdząco i następna godzina minęła na dyskusji o różnicach w życiu codziennym ludzi w różnych krajach, na różnych kontynentach.

- Miły wieczór - stwierdził później Marty.

- Tak, bardzo - zgodziła się Halley.

- Przepraszam, ale zżera mnie ciekawość... Muszę cię o coś spytać - dodał brat.

- O co?

- Powiedz mi, dlaczego twoje łóżko stoi w salonie?

Następnego ranka, zaraz po przyjeździe Jona, rodzeństwo w komplecie udało się w odwiedziny do Alana. Spędzili z nim blisko godzinę i obiecali, że kiedy wydobrzeje, przyjadą specjalnie, żeby wspólnie z nim się powspinać.

Po wyjściu ze szpitala zapakowali suchy prowiant i razem z grupą chętnych z klubu pojechali w góry.

W pewnej chwili, kiedy wkładała buty do wspinaczki, Halley usłyszała jeszcze jeden nadjeżdżający samochód, ale nie zwróciła na to specjalnej uwagi. Jednak kiedy zapinała na sobie pas asekuracyjny, dobiegł ją znajomy głos:

- Meldujemy się.

Odwróciła się i zobaczyła Maksa w towarzystwie narzeczonej.

- Hej! Cieszę się, że jesteście - powitała ich.

Spostrzegła, że Maks ma na sobie granatowy dres i domyśliła się, że ma ochotę wspinać się ze wszystkimi. Przeniosła wzrok na Christine i zauważyła, że dziewczyna znowu nerwowo bawi się perełkami na szyi.

- Kometa! Gotowa? - zawołał wysoki mężczyzna, odwrócony do nich tyłem.

- Sekundę. Chodź, poznasz jeszcze kogoś - odparła Halley, a kiedy mężczyzna spojrział w ich kierunku, Maks natychmiast rozpoznał w nim drugiego brata. - Jonathan, to jest Maks, a to jego narzeczonej, Christine - rzekła Halley.

- Miło mi. - Jon wyciągnął rękę. - No i jak? Gotowa?

- To zależy, czy Maks ma ochotę się przyłączyć - powiedziała. Intuicja podpowiadała jej, że Maks czekał, by zachęta wyszła od niej.

- To tak wysoko - wtrąciła Christine.

- Ale całkowicie bezpiecznie - uspokoił ją Jon. - A może i ty spróbujesz? - spytał. Halley spojrzała na brata, zdumiona. Zauważyła, że całą uwagę skupił na Christine. Spostrzegła też, że dziewczyna wpatruje się w niego jak urzeczona. - Więc jak? Idziesz? - zwrócił się do Maksa.

- Oczywiście - odparł lekarz.

- To chodźmy wybrać dla ciebie pas asekuracyjny - powiedziała Halley i odprowadziła Maksa na bok, gdzie

złożono sprzęt. - Jon! - zawołała. - Jon! - powtórzyła, gdyż jej brat był tak zaabsorbowany rozmową z Christine, że na nic nie zwracał uwagi. - Chodź, pomóż Maksowi, a ja poszukam dla niego butów, dobrze?

- Jesteście dobrze przygotowani - zauważył Maks.

- Chłopcy prowadzą kursy wspinaczkowe, więc muszą mieć wszystko co trzeba - rzuciła przez ramię. - Te będą dobre. - Podała mu parę butów. - Zawołaj, kiedy będziesz gotowy - dodała i poszła poszukać Christine.

- Masz przemiłego brata - wyznała narzeczona Maksa.

- Ale jest zupełnie inny niż Marty. Zresztą Marty też jest bardzo miły - dodała pośpiesznie.

- Tak, różnią się od siebie nie tylko kolorem włosów - stwierdziła Halley, wskazując przy tym rudą czuprynę Marty'ego.

- Zazdroszczę ci, że dorastałaś z braćmi. No, no, pomyślała Halley. Christine zazdrości mi braci, a ja jej Maksa.

- Jesteśmy gotowi! - zawołał Jon.

- To do mnie - powiedziała Halley. - Nie bój się. Maksowi nic złego się nie stanie - dodała z uśmiechem.

Podeszła do Maksa.

- Wspinaczka jest jak operacja - oświadczyła. - Krok za krokiem, ostrożnie. Ponieważ jestem niska, będzie ci łatwo śledzić moje ruchy. Uchwyty dla rąk, oparcie dla stóp znajdziesz wszędzie. Zobaczysz - dodała, naciągając rękawiczki.

- Dasz sobie radę.

- Nie wątpię. Mam przecież znakomitą instruktorkę - odparł, a jego oddech musnął jej szyję. Teraz najbardziej miała ochotę rzucić mu się w ramiona i przyłgnąć ustami do jego warg.

Zamiast tego podniosła nogę i zrobiła pierwszy krok. Poruszała się wolniej niż zwykle, by idący za nią mężczyzna wiedział, czego się chwycić, gdzie postawić stopę.

Maks z podziwem przyglądał się, jak zręcznie i sprawnie Halley posuwa się w górę, zwinnie niczym małpka.

- W porządku? - spytała.

- Uhm - mruknął. Bliskość Halley, jej obcisły kombinezon napinający się przy każdym ruchu, dekoncentrowały go. Nie umknęła także jego uwagi nuta namiętności w jej głosie. Kto by pomyślał, że wspinaczka jest tak uwodzicielskim zajęciem?

Byli już w połowie drogi, kiedy Maks pośliznął się i zawisł na rękach. Kamienie osunęły się spod jego stóp.

- Maks! - krzyknęła Halley zaniepokojona. Szybkim ruchem przesunęła się w prawo i w dół, tak że się z nim zrównała. Tymczasem jemu udało się zaczepić jakoś stopy o skalny występ. Znieruchomiał. - Maks! Nic ci nie jest?

- W porządku - uspokoił ją. Z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje oddech.

- Przestraszyłeś mnie. Wiedziałam co prawda, że nic ci się nie stanie, po wisisz tylko trochę na linie asekuracyjnej, ale zawsze...

- Nic mi nie jest - zapewnił.

Spojrzał jej prosto w oczy i uśmiech zniknął z jego twarzy. Emocje minęły, ale serce Halley, zamiast bić już znowu normalnym rytmem, waliło teraz w jej piersi jak oszalałe. Oddech też miała przyspieszony. Patrząc w błękitne oczy Maksa, rozchyliła wargi. Pocałuj mnie, pocałuj, błagała w myślach.

Zauważyła, że oddech Maksa też stał się nierównomierny. Czy przyczyną było osunięcie się, czy napięcie między nimi?

- Halley? - szepnął, ledwie ruszając wargami. Przymknęła powieki. Sposób, w jaki wypowiedział jej imię, był jak dotyk wywołujący dreszcz podniecenia. Westchnęła i otworzyła oczy. Spozstrzegła, że Maks przysunął się odrobinę bliżej. Stuknęli się kaskami. Halley zachichotała nerwowo. Trudno całować się podczas wspinaczki na skale, w kaskach i pasach asekuracyjnych!

- Maks?

- Co?

- Czas nas goni. - Wzięła głęboki oddech. - Nie możemy tu tkwić bez końca.

- No tak. Ruszaj, kiedy chcesz, a ja za tobą.

- Sądzę, że dalej powinniśmy wspinać się osobno. - Nagle Halley poczuła, że siły ją opuściły. Chciała jak najszybciej dotrzeć na szczyt i mieć to z głowy. - Już niedaleko, łatwo znajdziesz punkty zaczepienia, bardziej odpowiednie do... do twojego wzrostu - powiedziała i pomknęła do góry, zostawiając Maksa swojemu losowi.

Wiedziała, że zachowała się nie fair. Ale czy życie jest fair? Czy miłość jest fair?

Dotarła już niemal na szczyt, kiedy dostrzegła Marty'ego wychylonego nad krawędzią.

- Patrzcie, kogo tu widzimy! - zawołała do brata. Podciągnęła się na rękach, potem obróciła się i usiadła na krawędzi, machając nogami i czekając na swojego partnera. - Chodź, chodź, ślamazaro - droczyła się z nim.

Z przyjemnością patrzyła na jego napinające się mięśnie, kiedy podciągał się na rękach. Szedł niemal po jej śladach, a kiedy głową sięgał jej nóg, wyciągnął rękę i chwycił ją za kostkę. Halley odpowiedziała śmiechem. Instynkt mówił jej, że ten mężczyzna nigdy by jej nie zrobił krzywdy. I właśnie w tej chwili zrozumiała, że jest w nim do szaleństwa zakochana.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jak mogłam być taka nierozważna, pomyślała, wstrząśnięta tym odkryciem. Musiała zmienić się na twarzy, bo Maks, błędnie odczytując jej myśli, puścił jej kostkę i powiedział:

- Ja tylko tak żartowałem. Podciągnął się na rękach, usiadł obok Halley i przewiesił nogi przez krawędź nad przepaścią.

Wokół nich zebrało się już całkiem sporo ludzi i wszyscy zachęcali ich, a w szczególności Maksa, do kontynuowania wspinaczki. Halley nie zwracała na nikogo uwagi. Czuła ciepłe udo Maksa przy swoim, wsłuchiwała się w jego przyspieszony oddech, wpatrywała się w majestatyczny widok przed nimi. Starła się zapanować nad nierównym biciem serca.

- To uskrzydla - mruknął Maks, nie patrząc na nią.

Zastanawiała się, czy ma na myśli wspinaczkę czy panoramę. Nie miała natomiast wątpliwości, że odkrycie, iż jest po uszy zakochana w mężczyźnie zaręczonym z inną kobietą, jej wcale nie dodawało skrzydeł. Postanowiła, że teraz, zaraz, natychmiast, musi znaleźć się gdzieś daleko od Maksa, gdzie będzie mogła uporządkować myśli. Przecież zna tego mężczyznę zaledwie tydzień! Czy to niemożliwe, by w tak krótkim czasie się zakochała? Chcąc uciec jak najdalej, Halley obejrzała się przez ramię i powiedziała:

- Marty? Ja schodzę.

- W porządku, Mała - odparł brat.

- Już? Tak szybko? - zdziwił się Maks.

- Zjeżdżałeś kiedyś na linie? - spytała, jak gdyby rzucając mu wyzwanie.

- To akurat tak - odparł Maks, a Halley otworzyła szeroko oczy. - Wiele rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz - dodał.

I bardzo bym chciała się dowiedzieć...



- Marty cię przypnie. Do zobaczenia na dole. Wystartowała i wkrótce po ośmiu odbiciach dotknęła stopami ziemi.

- Wspaniale! - powitała ją Christine. - Wspinaczka zabrała wam tyle czasu, a jazda w dół trwała zaledwie kilka sekund!

Halley uśmiechnęła się z przymusem. Wyrzuty sumienia z powodu zdrady, jakiej się dopuściła, nie pozwalały jej otwarcie spojrzeć tej kobiecie w oczy. Wypięła linę, zdjęła pas asekuracyjny.

- Gdybyś chciała spróbować, Chrissy, wystarczy, że powiesz - odezwał się Jon.

Chrissy? Halley uniosła brwi. Ku jej jeszcze większemu zdziwieniu Christine zachichotała.

- Och, Jon, drażnisz się ze mną. Wiesz, że nie potrafię.

- Nie zarzekaj się - odparł Jon. Tego było już za wiele. Co tu się dzieje, zastanawiała się

Halley. Na dodatek Marty dał znać przez radio, że Maks jest gotowy do zjazdu.

- Będę tam - wskazała ręką zaparkowane samochody i pocałowała brata w policzek.

- Nie popatrzysz, jak Maks zjeżdża? - spytała Christine.

Halley wzruszyła ramionami.

- Da sobie świetnie radę. Poza tym powiedział, że to nie pierwszy raz.

- Naprawdę? - zdziwiła się Christine. Halley wzięła swój sweter i ruszyła w kierunku jaguara zmienić buty. Kiedy Maks wylądował na dole, ona zdążyła odjechać.

- Nieodwzajemniona miłość - mruknęła pod nosem. - Komu to potrzebne?

Właśnie ruszała z parkingu, kiedy Jon ją zawołał. Zatrzymała auto, opuściła szybę i spytała:

- O co chodzi?

- Dostaliśmy wiadomość przez radio, że pod Elephant's Hide zdarzył się wypadek. Maks chciałby, żebyś tam z nim pojechała.

Halley wysiadła z samochodu.

- Kto nadał wiadomość? - spytała, podchodząc.

- Strażnik leśny.

Kiedy dotarli do podnóża skały, usłyszeli Maksa kończącego rozmowę ze strażnikiem przez krótkofalówkę Jona:

- Będę za piętnaście minut. Już ruszamy. Odbiór - powiedział, a widząc Halley, dodał: - Dobrze, że jesteś. Jon, potrzebny mi będzie sprzęt, żeby dostać się do ofiary.

- Oczywiście. Teraz kolejne osoby zjeżdżały ze skały, wśród nich Marty.

Kiedy znalazł się koło nich, Jon przedstawił mu sytuację.

- Zostanę tutaj i spakuję sprzęt - zaproponował - a ty weź wóz i jedź za Maksem.

Maks tylko kiwnął głową.

- Ruszamy - zarządził. - Halley, ty jedziesz ze mną - powiedział, a odwracając się do narzeczonej, dodał: - Przykro mi, Christine, ale nie mam pojęcia, jak długo to potrwa.

- Nie martw się - wtrącił Jon. - Mała da mi swoje kluczyki i kiedy spakujemy sprzęt, odwiozę Christine do miasta.

- Dziękuję - rzekł Maks i ruszył naprzód, a Halley szybko wręczyła bratu kluczyki i pobiegła za nim. - Może mi powiesz, dlaczego mnie tak nagle zostawiłaś tam na górze? - spytał, kiedy już mknęli bitą drogą. W jego głosie słychać było lekką irytację.

- Praca czeka.

- Nie wykręcaj się. Wiem dokładnie, ile masz pracy i ile czasu na jej wykonanie. To niegrzecznie zapraszać kogoś na wspinaczkę, a potem odwrócić się i zjechać samemu.

- O co ci chodzi? - obruszyła się. Mówiła głośno, starając się przekrzyczeć stukot kamieni obijających się o karoserię. - Zjeżdżałeś już kiedyś. Poza tym Marty był z tobą na górze, a na dole czekał Jon. Zostawiłam cię w dobrych rękach. A sama miałam kilka spraw do załatwienia.

- Aha, więc miałaś kilka spraw, nie pracę.

- O co ci chodzi? Że nie zaczekałam, żeby ci pogratulować? Że nie miałaś dość licznej publiczności?

- To nie o to chodzi.

- A o co?

- O dobre wychowanie - wyjaśnił. - Spodziewałem się po tobie czegoś więcej.

- Nie rozumiem.

- Nie mówmy już o tym.

- Dobrze. Zabrzęczało radio.

- Jesteś tam, Maks? Odbiór.

Maks spojrział na Halley i ruchem głowy dał jej znak, żeby odpowiedziała.

- Tu doktor Ryan. Maks prowadzi. Odbiór - powiedziała do mikrofonu.

- Jestem już na dole. Ofiara to mężczyzna, około dwudziestu lat. Brak dokumentów. Ubrany w strój do wspinaczki, ale bez pasa asekuracyjnego. Zegarek rozbity. Wskazuje czternastą trzydzieści siedem. - Halley zerknęła na deskę rozdzielczą. Minęła piętnasta. - Koło lewego uda plama krwi. Prawa ręka dziwnie wykręcona. Puls ledwo wyczuwalny. Zakładam prowizoryczny opatrunek. Kiedy przyjedziecie? Odbiór.

- Za dwie minuty - mruknął Maks, a Halley powtórzyła to samo do mikrofonu.

I rzeczywiście w ciągu dwóch minut dotarli na miejsce. Zatrzymali się koło półciężarówki strażnika i wysiedli. Zaraz po nich nadjechał Marty i natychmiast zajął się

przygotowywaniem lin. Halley żałowała, że zdjęła pas i buty, ale nie tracąc ani chwili, dobrała pas z ekwipunku przywiezionego przez brata.

Maks wyjął apteczkę i chciał zawiesić ją sobie na piersi, lecz Halley powstrzymała go.

- Daj to mnie - powiedziała.

- Ale...

- Jestem bardziej doświadczona od ciebie i dotrę na dół znacznie szybciej.

- Ona ma rację - wtrącił Marty. - Nie zapominaj, że to Kometa. No, idź już, Mała.

Maks bez oporów oddał apteczkę Halley, a ona włożyła ją sobie pod kombinezon. Torba uwierała trochę, lecz nie powinna wypaść. W dwóch susach znalazła się na dole przy Tomie i nieprzytomnym turyście.

- Nazywam się Halley Ryan - przedstawiła się, jednocześnie wypinając linę. Zdjęła rękawice i zanim przystąpiła do badania, włożyła lateksowe rękawiczki. Uklękła przy rannym, przyłożyła palce do tętnicy szyjnej, zaczęła liczyć puls. - Drogi oddechowe? - spytała.

- Drożne.

- To dobrze. - Wyjęła małą latarkę i sprawdziła źrenice ofiary. Były nieruchome, co mogło wskazywać na wstrząśnienie mózgu. - Jak daleko jest Maks? - spytała Toma.

- Prawie na dole - odparł strażnik.

- Trzymaj tutaj - poprosiła, przykładając opatrunek do uda mężczyzny.

- Jaki stan? - spytał Maks i też włożył lateksowe rękawiczki. Wysłuchawszy z uwagą raportu Halley, powiedział do Toma: - Będziemy potrzebowali twojej pomocy przy wciąganiu noszy. Marty zaraz je opuści.

- Nie ma sprawy - odpowiedział strażnik i wstał. Halley uklękła i zmieniła prowizoryczny opatrunek.

- Co z jego ramieniem? - spytał Maks.

- Jeszcze nie sprawdzałam - odrzekła Halley i przystąpiła do badania. - Kość ramienia złamana, możliwe, że przegub też - relacjonowała. - Puls ledwo wyczuwalny.

- Zajmijmy się wpierw nogą - zdecydował Maks. Założyli opaskę uciskową i bandaż. - Co z noszami?

- Już... są - opowiedział strażnik. Wspólnie owinęli chłopaka kocem termoizolacyjnym i na raz, dwa, trzy, ostrożnie położyli na noszach. Potem Tom zaczął się wspinać na górę, a Halley zajęła się linami.

- Godne podziwu - mruknął Maks pod nosem.

- Znowu zaczynasz? - spytała Halley.

- Mówię poważnie. Podziwiam twoje umiejętności. Dobrze mieć cię przy sobie w sytuacjach kryzysowych.

Teraz czekali tylko na sygnał od Toma, który już prawie dotarł na górę.

- Ja pójdę obok noszy - oznajmiła Halley - a ty trzymaj się trochę poniżej.

- Zgoda. - Zdziwiła ją ugodowość Maksa. - Jesteś bardziej doświadczona - dodał, jak gdyby czytając w jej twarzy.

- Znam swoje możliwości. No, ruszamy.

Powoli dotarli na górę. Umieścili rannego na noszach w półciązarówce Toma, która była przystosowana na takie ewentualności.

- Zamienimy się - zdecydował Maks, podając strażnikowi kluczyki do swojego wozu. - Ja poprowadzę, a Halley będzie obserwować chłopaka.

- Do zobaczenia w mieście - rzucił Marty i zajął się pakowaniem sprzętu.

Instruowana przez Maksa, Halley zawiadomiła drogą radiową szpital o wypadku i przekazała Sheenie dane o stanie rannego.

- Będziemy musieli jak najszybciej przetransportować go do szpitala w Geelong - powiedziała.

- Zawiadomię ich i poproszę, żeby przysłali helikopter - odrzekła pielęgniarka.

- Jaki stan? - spytał Maks.

- Bez zmian - stwierdziła Halley. W tej samej chwili mężczyzna otworzył usta i jęknął. - Słyszysz mnie pan? - Twarz rannego wykrzywił grymas bólu. - Jestem lekarką. Nazywam się Halley Ryan. Wieziemy pana do szpitala. Wszystko będzie dobrze - mówiła, pragnąc w ten sposób dodać mu otuchy.

- Środki przeciwbólowe? - spytał Maks zza kierownicy.

- Podałam. Kiedy zajechali przed szpital, Sheena i cały zespół czekali w pełnej gotowości.

- Musimy zająć się jego nogą - powiedział Maks. - Kiedy przyleci helikopter?

- Za trzydzieści minut.

- Ależ to... Billy! - zawołała jedna z pielęgniarek i zbladła.

Halley spojrzała na dziewczynę, która miała pełnić rolę instrumentariuszki w sali operacyjnej.

- Znasz go? - spytał Maks.

- Trochę. Chodziliśmy do jednej szkoły. Potem on gdzieś się przeniósł. Nazywa się Billy Downs.

- Możesz skontaktować się z jego rodziną?

- Sprawdzę w książce telefonicznej. Jego rodzice mieszkali w Bugglebrook.

- Niech ktoś inny się tym zajmie - wtrąciła Sheena. - Ty jesteś potrzebna tutaj.

Pracowali w skupieniu, wiedząc, że otwarte złamanie kości udowej może stanowić zagrożenie dla życia. Maksowi udało się zlokalizować zerwane naczynia krwionośne i zamknąć je. Teraz przygotowywali Billy'ego do transportu.

- Udało się odnaleźć jego rodzinę? - spytał Max.

- Dowiem się - obiecała Sheena i wyszła z sali. Halley wciąż monitorowała pacjenta, sprawdzając, czy nie wystąpi negatywna reakcja na środki znieczulające. W pewnej chwili spojrzała na Maksa zdejmującego maskę i fartuch. Ich oczy spotkały się.

- Podziwiam cię - powiedziała. - Miałam na myśli, że jesteś... jesteś znakomitym fachowcem - bąknęła.

- Wiem, co miałaś na myśli - rzucił Maks z ręką na klawisze i wyszedł.

Przymknęła powieki i potrząsnęła głową. Walczyła z ogarniającym ją uczuciem przygnębienia. Nie, nie będzie rozczulać się nad sobą, bo mężczyzna, w którym się zakochała, jest zaręczony z inną.

Kiedy helikopter zabrał Billy'ego Downsa do szpitala w Geelong, Maks odwiózł Halley do domu. Całą drogę milczeli oboje.

- Dzięki - mruknęła, wysiadając. Na podjeździe stał jej samochód i furgonetka Marty'ego.

Halley westchnęła. Akurat wtedy, kiedy miała ochotę wypłakać się w samotności, musi zabawić braci. A kiedy otworzyła drzwi, okazało się, że nie tylko ich.

- Cześć, Halley! - powitała ją Christine. Wstała zza kuchennego stołu, przy którym cała trójka piła herbatę, i dotykając perełek na szyi, spytała: - Maks też wrócił? - Gdy Halley skinęła głową, Christine dodała: - W takim razie dziękuję za dotrzymanie mi towarzystwa.

Jon także zerwał się z miejsca.

- Cała przyjemność po naszej stronie, Chrissy. I do zobaczenia wieczorem - rzekł z uśmiechem.

Christine wciąż bawiła się perełkami i Halley pomyślała, że dziewczyna musi być z jakiegoś powodu bardzo zdenerwowana.

- Tak, oczywiście. Do zobaczenia - odparła i obejrzawszy się jeszcze na Halley, pospiesznie opuściła pomieszczenie.

Kiedy drzwi frontowe się za nią zatrzasnęły, Halley spojrzała pytająco na Jona.

- Co jest grane? Brat wzruszył ramionami.

- Przyjechaliśmy i czekając na was, wypiliśmy herbatę - wyjaśnił. - Fascynująca kobieta - dodał.

Halley spojrzała na Marty'ego.

- Jak chłopak? - spytał.

- Właśnie. Jak chłopak? - powtórzył Jon.

- Wyliże się. Jest w drodze do Geelong - uspokoiła ich.

Opadła na najbliższe krzesło i zamknęła oczy.

- Dobrze się czujesz, Mała? - zaniepokoił się Jon.

- Uhm.

- Herbaty? - zaproponował Marty.

- Uhm.

- Przemiała dziewczyna z tej Chrissy - powiedział Jon.

Halley spojrzała na niego wymownie.

- Raczej przemiała zaręczona dziewczyna, i przestań nazywać ją Chrissy - powiedziała.

- Dlaczego? Ona to lubi. - Halley uniosła brwi. - Uważasz, że nie może mi się podobać jakaś dziewczyna tylko dlatego, że jest cudzą narzeczoną?

- Kogo chcesz oszukiwać, Jon? - spytała Halley, starając się nie podnosić głosu. Ściany tego domu są bardzo cienkie.

- To tylko przelotne zauroczenie - dodał Jon.

- Skąd wiesz, psychologu? - wtrącił Marty z uśmiechem.

- Po prostu wiem - szepnął Jon. - A poza tym przygadał kocioł garnkowi. Ty i Maks przez całe popołudnie robiliście do siebie słodkie oczy.

- Jakie słodkie oczy? Nie bądź śmieszny, dobrze? - obruszyła się Halley.



Czyżby to było aż tak widoczne, zaniepokoiła się jednak w duchu.

- Musicie poznać Clarabelle - oświadczyła Halley i zaprowadziła braci do siedzącej na wózku inwalidzkim starszej pani, którą ucałowała. - Cześć! Jak się czujesz?

- Cudownie. W życiu nie czułam się lepiej. A kim są ci dwaj przystojni dżentelmeni?

- To moi bracia. Jonathan i Martin.

- Ach, planety. - Clarabelle uścisnęła im obu dłonie. - Musicie mnie odwiedzić i opowiedzieć o swoich ekspedycjach, panowie. Uwielbiam słuchać o cudzych przygodach.

- Pod warunkiem, że się nam pani zrewanżuje i opowie trochę o własnych - ripostował Jon.

- Ma pan czarujący uśmiech, chłopcze - zauważyła Clarabelle. - Założę się, że niejednej już pannie zawróciłeś w głowie.

- Przestań uwodzić mi brata - zażartowała Halley. - Jest dla ciebie o wiele za młody.

- Kto tak mówi? - obruszyła się Clarabelle.

- Ja, babciu - powiedziała Christine, podchodząc. Pochyliła się i pocałowała staruszkę w policzek. - Jak się czujesz?

W błękitnej atłasowej kreacji, z nieodłącznym sznurem pereł na szyi, Christine wyglądała oszałamiająco, ale to mężczyzna u jej boku, w ciemnym smokingu, białej koszuli z błękitnym krawatem pasującym do sukni partnerki i szerokim jedwabnym pasem, zrobił na Halley wręcz piorunujące wrażenie.

- Przepraszam? - Usłyszała, że Clarabelle coś do niej mówi.

- Mówiłam ci, dziecko, że dzisiejszy wieczór to najważniejsze wydarzenie towarzyskie roku.

- Tak, tak, mówiłaś - bąknęła Halley i rozejrzała się dookoła. - I pewnie jak zwykle miałaś rację.

- Ślicznie wyglądasz - szepnął Maks. Halley uśmiechnęła się. Nie wiedząc, że czeka ją jakaś wielka gala, włożyła do walizki czarne spodnie, kremową bluzkę i w ostatniej chwili dorzuciła nowy czerwony jedwabny żakiet.

- Dziękuję.

- Widzę, że nawet z takiej okazji jak dziś nie zdecydowałaś się na sukienkę - zażartował Maks i obdarzył ją kpiącym uśmiechem.

- Przykro mi, ale nie wzięłam ani sukienki, ani spódnicy.

- Ostatni raz widziałem Halley w sukience na uroczystości rozdania dyplomów - wtrącił Jon.

- Nieprawda - dodał Marty. - To się nie liczy. Pod toga miała spodnie.

- A wiesz, że tak! - wykrzyknął Jon i pstryknął palcami. - W takim razie muszę stwierdzić, że w ogóle nie pamiętam Małej w spódnicy!

- Ale obiecała, że do ślubu pójdzie w sukience - wyznał Marty.

Jon zmarszczył brwi.

- Jesteś pewny, że obiecała? Ja słyszałem dwie wersje, albo lejący biały jedwab, albo białe skórzane spodnie.

- Białe skórzane spodnie? - Christine zrobiła wielkie oczy. - Nie odważyłabyś się, prawda?

Halley uśmiechnęła się szeroko.

- Poczekajcie, zobaczycie - odparła.

- Och! - wykrzyknęła Clarabelle. - Dopiero teraz widzę, że stoimy pod jemiolą! Kto mnie pocałuje?

Marty uśmiechnął się.

- Poczytam sobie za zaszczyt, że będę pierwszy - oświadczył i pocałował Clarabelle w policzek.

Jon i Maks poszli w jego ślady. Kiedy Christine również otrzymała trzy całusy, Halley domyśliła się, że teraz przyszła kolej na nią. Zerknęła na Maksa, napotkała jego pełne żaru spojrzenie.

- Na co czekasz, Maks? - ponagliła Clarabelle. - Przecież Halley nie będzie się całować z braćmi!

Halley poczuła, że krew płynie szybciej w jej żyłach, a serce bije mocniej. Wargi jej wyschły, dłonie zwilgotniały. Maks zaraz ją pocałuje!

Zbliżył się do niej, poczuła zapach jego płynu po goleniu. Przymknęła powieki, wstrzymała oddech. Ich usta zetknęły się na jedno mgnienie, ale dla Halley ta chwila zmieniła się w nieskończoność. Przez ostatnich sześć dni marzyła o tym pocałunku i teraz to marzenie się ziściło!

Poczuła, że miłość do Maksa przepelnia jej serce, a dreszcz pożądania przenika jej ciało.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- A teraz... - głos Clarabelle docierał do Halley jak gdyby z oddali - a teraz, skoro już wszystkie pocałunki zostały rozdane, czy ktoś mógłby pomóc mi dotrzeć do wazy z ponczem? - zapytała rześka staruszka. - Z przyjemnością wypiłabym szklaneczkę - oznajmiła.

Halley wpatrywała się w Maksa, nie mogąc uwierzyć, że jeden przelotny pocałunek wprowadził taki zamęt w całe jej życie.

- Jemioła - mruknął Maks, patrząc w górę. Potem pokiwał głową i spytał: - Napijesz się czegoś?

- Errr... chętnie - bąknęła. - Tak, dziękuję.

Całą grupą przeszli do wazy z ponczem. Maks nalał czarke, podał Halley i nagle przeprosił wszystkich, a zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, pospiesznie opuścił pokój bocznymi drzwiami.

Co mi strzeliło do głowy! - zastanawiał się. Pocałował Halley na oczach narzeczonej i całego miasta.

- Jemioła - mruknął znowu. - Głupia roślina, na dodatek sztuczna.

Pocałował Halley pod jemiołą z plastiku! Czyj to był pomysł, by wieszać jemiołę? Pewnie Clarabelle maczała w tym palce...

Gdy szedł w stronę parkingu, ktoś zaniepokojony zapytał:

- Chyba nie wezwano cię do nagiego wypadku? Maks uśmiechnął się uprzejmie.

- Nie. Na szczęście nie - odparł. - Po prostu zapomniałem czegoś z samochodu.

Otworzył drzwi. Jeden przelotny pocałunek. Jedna sekunda, a jego życie wywróciło się do góry nogami.

Odkąd matka ich opuściła, Maks stał się bardzo skryty. Jego życie było uporządkowane, nawet uczucia miały w nim ściśle wyznaczone granice. Christine spodobała mu się,

polubił ją i w końcu poprosił o rękę. Oboje doszli do wniosku, że to rozsądny i właściwy krok. Nigdy nie deklarował dozgonnej miłości, uznając, że tak będzie lepiej. Żadnej kobiecie nie pozwoli zranić się tak, jak jego matka zraniła ojca!

Ale to wszystko stało się, zanim spotkał Halley!

Oparł głowę o framugę drzwi. Co mu strzeliło do głowy, żeby ją całować? Śnił o tym od zeszłego poniedziałku i chociaż to nawet nie był pocałunek, a muśnięcie warg, wzmogło palące pragnienie doświadczenia czegoś więcej.

Oboje przyznali, że coś między nimi zaiskrzyło, ale zgodzili się, że nic z tego nie może wyniknąć. Maks przymknął oczy i ciężko westchnął. Stało się, a teraz będzie nosić wspomnienie tej chwili do końca życia. Wiele razy w podobny sposób całował Christine, ale nigdy nie czuł takiego dreszczu emocji...

Otworzył oczy, wyprostował się, palcami przeczesał włosy. Musi wyrzucić Halley Ryan z myśli. Raz na zawsze. Żadnych dotknięć, intymnych scen i zdecydowanie żadnych więcej pocałunków! Jest zaręczony z Christine. Ma zobowiązania! Nigdy w życiu nie złamał słowa i nigdy nie odstąpi od tej zasady. Jego życie z Christine będzie spokojne i uporządkowane, bez niespodzianek, dokładnie takie, jakie lubił. Wybór Christine na żonę był rozsądną decyzją.

Zatrzasnął drzwi, poprawił muchę pod szyją, obciągnął smoking i skierował się z powrotem do sali bankietowej.

- Och, tu jesteś, Maks! - zawołała Christine, która wyszła mu naprzeciw. - Szukałam cię. - Wsunęła mu rękę pod ramię, a on poklepał jej dłoń. - Zaraz się zaczniesz - dodała.

Wieczór mijał bez zakłóceń, a jedzenie, jak zapowiadała Clarabelle, było wyśmienite. Przy kolacji Halley zajęła miejsce między braćmi, naprzeciwko Maksa i Christine. Maks unikał jej wzroku i dopiero pod koniec kolacji spojrzął na nią i

uśmiechnął się. W pewnym sensie żałowała, że to zrobił. Błysk rozbawienia w jego oczach spowodował, że całkiem straciła głowę i dopiero kiedy Marty wypowiedział jej imię, wróciła z obłoków na ziemię.

Mary Simpson pomagała podawać do stołu. Z początku spięta, przy deserze rozpromieniła się, zadowolona, że wszystko przebiega po jej myśli jako gospodyni.

Po kolacji Maks zaprowadził Halley do Dana.

- Czy już pani zamyka nasz szpital? - spytał naczelnik gminy.

Halley wzięła głęboki oddech i już otwierała usta, by odpowiedzieć, kiedy Maks ją wyreczył.

- Za wcześnie na werdykt - odezwał się z wymuszonym uśmiechem. - Musimy jeszcze przejrzeć trochę dokumentów.

- Tato - odezwała się Christine, podchodząc w towarzystwie bliźniaków - poznaj moich nowych przyjaciół, Martina i Jonathana.

Dan uścisnął im ręce.

- Skądś już panów znam... - zawahał się.

- Halley i oni to... - zaczęła Christine, ale ojciec jej przerwał:

- Wiem! Oczywiście! Planet Electronics! Czytałem wczoraj artykuł o panach w prasie fachowej.

Jon i Marty zgodnie skinęli głowami, Christine zaś zdumiona spojrzała na Halley.

- Coś się stało? - spytała Halley.

- Planet Electronics? Nic... nic nie mówiłaś - wybąkała.

- O czym? - zdziwiła się Halley.

- A co ona ma z tym wszystkim, wspólnego? - spytał Dan.

Na ten obcesowy ton, Marty i Jon zmarszczyli brwi.

- Jest ich siostrą, tato - poinformowała Christine. Dan spojrzał na Halley zażenowany.

- Pani jest córką Jacka Ryana?

- Tak.
- Ale jest pani lekarką...
- Tak.
- Przecież nie musi pani pracować. Jest pani bogata. Halley uśmiechnęła się. Trudno jej było uwierzyć, że ktoś może być tak nietaktowny. Jon otoczył ją ramieniem.
- Jesteśmy bardzo dumni z naszej Halley - oznajmił, a Marty potwierdził to skinieniem głowy.
- Jest samodzielna. Ma pasję. Tak - dodał, ściskając jej ramię - jesteśmy dumni z naszej pani doktor.
- Oczy... oczywiście - wykrztusił Dan.
- Przepraszam - odezwała się Halley. - Muszę się odświeżyć.
- Pójdę z tobą - zaproponowała Christine i wzięła Halley pod rękę. - Nie miałam pojęcia - szepnęła jej do ucha, kiedy szły do pokoju dla pań.
- Zwracałem się do panów ojca - dobiegł je jeszcze głos Dana - w sprawie budowy fabryki tu w Heartfield...
- Wyglądało na to, że Jon i Marty dostaną zaraz ofertę biznesową, ale takie rzeczy zdarzały się nie po raz pierwszy. Halley była jednak spokojna, wiedziała, że jej bracia doskonale sobie poradzą z naczelnikiem gminy.
- Więc nie miałaś pojęcia, że Planet Electronics to my?
- Najmniejszego.
- A to ważne?
- Nie... Tylko... - Christine rozejrzała się. - Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze?
- Coś się stało, Christine? - zaniepokoiła się Halley.
- Och, Halley... - Christine wciąż rozglądała się, czy nikt nie podsłuchuje. Puściła ramię lekarki i zaczęła obracać perełki naszyjnika w palcach. - Nie mogę uwierzyć, że Jon... że on jest kimś aż tak ważnym...
- A więc chodzi ci o Jona?

- Nie, nie! - Christine gwałtownie zaprzeczyła, lecz Halley podejrzewała, że zrobiła to niezbyt szczerze. - Widzisz, ja... moje wychowanie... - ciągnęła trochę chaotycznie. - Po śmierci mamusi, ojciec był w stosunku do mnie bardzo autorytatywny. Skończyłam dwadzieścia dziewięć lat, a dalej mieszkam z nim i prowadzę mu dom. Brak mi mamy i żałuję, że nie mogę z nią porozmawiać. Jest babcia, cudowna, wspaniała... ale to nie to samo. Ojciec nigdy nie zachęcał mnie do podjęcia pracy ani nauki. Mówił mi, że moim przeznaczeniem jest być żoną i matką, zaangażować się w działalność dobroczynną jak mama. Jej to wystarczyło, więc... - Christine urwała. - Babcia wciąż mi powtarza, że mam robić to, co chcę i nie słuchać ojca, ale... ja nie potrafię.

- Nie wiesz, jak to zrobić?

- Nie wiem - przyznała i dotknęła perełek. - Należały do mamusi - wyjaśniła.

Halley skinęła głową. Dopiero teraz pojęła, jakie ta młoda kobieta ma problemy sama ze sobą. Christine była kompletnie zagubiona i nie potrafiła znaleźć dla siebie miejsca.

- Rozumiem. Nosisz je, bo czujesz, że mama jest przy tobie, tak?

- Uhm. Wiesz, kiedy cię zobaczyłam, nie wiedziałam, czy cię polubię. Ojciec powtarzał, że mamy dać ci odczuć, że nie jesteś tu mile widziana, a Maks się z nim nie zgadzał. Nie wiedziałam, komu wierzyć. Maks zawsze był przy mnie. Był cudowny, kiedy mamusia zmarła. Zawsze, kiedy przychodził na podwieczorek, był taki uprzejmy i czarujący. Przy nim czuję się... - Urwała, szukając odpowiedniego słowa. Halley nie była pewna, czy chce tego słuchać. Uczucie, jakim darzyła Maksa, było tak silne, że słuchanie zwierzeń jego narzeczonej stawało się ponad jej siły. Z drugiej strony jednak uświadomiła sobie, że Christine nie ma wielu przyjaciół, z którymi mogłaby porozmawiać. - bezpieczna - dokończyła. -



Kocham go. Naprawdę kocham. Ale nie wiem... Czegoś mi brakuje...

- Brakuje? - Halley zmarszczyła czoło.

- Tak. Brakuje. Jakiejś iskry... - Christine spuściła na chwilę wzrok, a potem spojrzała znowu na Halley. - Kiedy zobaczyłam ciebie i twoich braci, zrozumiałam, co naprawdę czuję do Maksa. Traktuję go jak starszego brata, którego nigdy nie miałam.

Halley była oszołomiona tym wyznaniem. Ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi, pomyślała.

- Ach, więc tu jesteście! - zawołał Maks, pojawiając się w drzwiach. - Zaraz przyjdzie Święty Mikołaj. Chodźcie do środka, bo się zaziębicie.

Halley miała nerwy napięte do ostateczności. Ile Maks słyszał z naszej rozmowy? Nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- Halley? - Maks dotknął jej ramienia. - Przykro mi, że Dan jest taki nieprzyjemny.

- To nie twoja wina. Stali w wąskim przejściu, niemal ocierając się o siebie.

Halley powoli podniosła wzrok. Zobaczyła, że Maks już się nie uśmiecha, a jego oczy pełne są tęsknoty i pożądania. Kolana się pod nią ugięły. Wiedziała, czego pragnie, ale wiedziała też, że nie wolno jej poddać się temu marzeniu.

- Halley - szepnął. Westchnęła.

- Nie możemy - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. Maks kiwnął głową. - To by nas rozdzieliło.

- Wiem. - Nie dotykał jej, lecz jego bliskość była niemal namacalna. - Dałem słowo.

Poczuła dławiący ucisk w gardle. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Skinęła tylko głową na znak, że szanuje jego lojalność w stosunku do Christine.

Brzęk tłuczonych naczyń otrzeźwił ich.

Natychmiast pobiegli w stronę, skąd dobiegł hałas. Halley pchnęła drzwi do kuchni i zobaczyła Mary siedzącą na podłodze wśród góry skorup.

- Proszę się nie zbliżać. - Maks ręką powstrzymał jedną z kobiet. - Zbadam, czy sobie czegoś nie złamałaś, Mary. - Dopiero gdy stwierdził, że nic sobie nie zrobiła, pomógł jej się podnieść.

- Nic cię nie boli? - spytała Halley, bacznie przyglądając się Mary. Dostrzegła ciemną plamę krwi na jej prawej łydce. Przyklękła, lecz niewiele mogła zobaczyć przez rajstopy.

- Skaleczyłaś się w łydkę - stwierdziła. - Chyba głęboko, bo silnie krwawi. Czy jest tu apteczka? - spytała.

- Zaprowadźmy ją do mojego samochodu - zdecydował Maks, sprawdzając puls Mary. Odwrócił jej twarz ku światłu i zajrzał w źrenice. - Uderzyłaś się w głowę?

- Nie... Pośliznęłam się na... - Mary umilkła. Zaczęły nią wstrząsać dreszcze.

- Niech ktoś da koc albo płaszcz - zawołała Halley.

- Mary? Mary? - Bernard wpadł do kuchni i podbiegł do żony. Na widok sterty potłuczonych talerzy i śladów krwi na podłodze odwrócił się do Maksa. - Co się stało? Co z Mary?

- Chcemy ją zabrać do szpitala - wyjaśnił Maks. - Podaj tamto krzesło, proszę. - Kiedy Bernard nie zareagował, powtórzył naciskiem: - Przysuń krzesło.

- Ja? Przepraszam - odezwał się Bernard - myślałem, że mówisz do kogoś z obsługi. Po co krzesło?

- Musimy unieść jej nogę, obejrzyć skaleczenie i założyć opatrunek na łydkę. Potem zabierzemy Mary do szpitala.

- Do szpitala! - wykrzyknął Bernard. - Na jak długo? Zaraz mam wygłosić przemówienie.

- Wracaj na salę - prosiła Mary słabiutkim głosem. Halley wyczuła, że Mary nie chce, by mąż został przy niej.

- Pańska żona szybko dojdzie do siebie - uspokoiła go. - Kiedy bankiet się skończy, proszę przyjechać do szpitala.

Bernard spojrział na Halley, potem na Maksa.

- Halley ma rację - oznajmił Maks. Dopiero wówczas Bernard wyszedł z kuchni.

W ciągu kilku sekund przybiegła Sheena. Wspólnie posadzili Mary na krzesło i obejrzelik skaleczenie. Halley założyła prowizoryczny opatrunek znaleziony w apteczce pierwszej pomocy, którą ktoś przyniósł. Kiedy skończyła, Maks podjechał pod tylne wyjście i przeniósł Mary do samochodu. Halley usiadła z tyłu, kobieta oparła głowę na jej kolanach.

- Jak się czujesz? - spytała Halley.

- Trochę mi słabo - odparła Mary, nie otwierając oczu.

- Zaraz będziemy na miejscu. Wszystko będzie dobrze - uspokajała ją Halley.

Zawiadomiony przez Sheenę personel już na nich czekał.

- Ciśnienie krwi, podstawowe badania i... proszę przygotować znieczulenie miejscowe - zarządził Maks.

- Szycie zdecydowanie konieczne - szepnęła Sheena, kiedy wspólnie okrywały pacjentkę do zabiegu i przemywały ranę.

- Jak ona się czuje? - spytał Maks.

- W porządku. Maks wytłumaczył Mary, na czym będzie polegał zabieg.

Halley czekała, aż kobieta podpisze zgodę, po czym przystąpiła do szycia.

- Koronkowa robota, pani doktor - rzucił Maks, a Halley ucieszyła się z pochwały. Wiedziała, że gdy wróci do Melbourne, z tęsknotą będzie wspominać takie chwile.

- Jak się czujesz, Mary? - spytała. Sheena oddaliła się, żeby mogły spokojnie porozmawiać.

- Dobrze. Halley odgarnęła kosmyk włosów z czoła kobiety.

- Zanim się obejrzysz, znowu będziesz biegać po kuchni i przygotowywać swoje frykasy. - Słyszając te słowa, Mary uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Bernard powinien zaraz tu być i wrócić do domu - dodała.

- Nie! - Uśmiech zniknął z twarzy Mary. Spróbowała usiąść.

- Spokojnie - rzekła Halley, zdumiona jej gwałtowną reakcją, i rzuciła w stronę Maksa zaniepokojone spojrzenie.

- Proszę, nie odsyłajcie mnie do domu! Błagam, Halley! Zostawcie mnie tu... na noc. - Mary kurczowo chwyciła lekarzkę za rękę.

Halley jeszcze raz spojrzała na Maksa, który skinieniem głowy wyraził zgodę.

- Oczywiście, Mary. Nie denerwuj się. Zostaniesz tu na noc. Zresztą i tak powinniśmy zostawić cię na obserwacji przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Pomyliłam się, zakładając, że poradysz sobie w domu. Przecież potrzebny ci jest odpoczynek.

- Halley ma absolutną rację - wtrącił Maks. - Mogłabyś przypadkiem wyrwać sobie któryś szew. Czy chcesz się widzieć z Bernardem, kiedy przyjdzie?

- Jestem... trochę zmęczona - wybąkała kobieta.

- I nic dziwnego. Spróbuj zasnąć. Poproszę Sheenę, żeby przygotowała ci łóżko.

- Dzięki - szepnęła Mary i zamknęła oczy. Wyszli z sali zabiegowej, zostawiając ją samą. Halley już

chciała coś powiedzieć, ale Maks położył palec na ustach. Wydał polecenia pielęgniarkom, a potem zaprowadził Halley do kuchenki dla personelu. Zamknął drzwi.

- Nie mogę wprost uwierzyć! - Nalał im dwa kubki kawy. - Pamiętam, co opowiadałaś mi o wczorajszej wizycie u niej w

domu, ale... - Potrząsnął głową. - Nie mogę uwierzyć, że ona nie chce widzieć się z mężem. Halley podziękowała za kawę i powiedziała:

- Teraz, kiedy się już przyznała, że coś jest nie tak, nie chce wracać do takiego życia, jakie prowadziła. Obawiam się, że oni... oni za mało ze sobą rozmawiają.

- Od tygodni zgłaszała się do mnie z błahymi dolegliwościami, które można z powodzeniem w ogóle zignorować. Wyczuwałem, że coś ją gnębi, ale nie miała do mnie dość zaufania. Tobie udało się osiągnąć znacznie więcej w ciągu zaledwie sześciu dni!

- To kwestia płci. Twoje umiejętności jako lekarza nie mają w tej sytuacji znaczenia. Mary otworzyła się przede mną, bo jestem kobietą.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam - usprawiedliwiła się Sheena - ale Bernard żąda widzenia się z żoną.

- Dziękuję. Czy łóżko dla Mary jest już gotowe?

- Tak.

- To przenieście ją. A Bernarda skierujcie tutaj. - Gdy Sheena wyszła, dodał: - Pozwól, że ja z nim porozmawiam.

- Oczywiście. Gdy Bernard wszedł, Maks zaproponował mu kawę, lecz

zastępca naczelnika gminy podziękował. Domagał się widzenia z żoną.

- Zaraz cię do niej zaprowadzę - obiecał Maks - ale wpieryw usiądź. - Po krótkiej relacji z zabiegu, dodał: - Musimy ją zatrzymać na obserwacji. Nie wolno jej gotować, sprzątać, wykonywać żadnych prac domowych. Powinna leżeć i odpoczywać.

- Ale ja mam spotkania, pracę... Halley zacisnęła zęby, lecz milczała.

- Dobrze. Znajdziemy ci kogoś. Mary zawsze tak chętnie pomagała innym i jestem pewny, że wiele osób teraz pomoże wam.

- Mógłbym ewentualnie poprosić matkę, żeby przyjechała na jakiś czas - zasugerował Bernard.

- Chyba nie warto. To będzie zaledwie kilka dni. A tu na miejscu ktoś się znajdzie. Teraz Mary śpi. Rana była głęboka i podaliśmy jej środek przeciwbólowy, który działa także usypiająco. Odpoczynek jest dla niej najlepszym lekarstwem. - Maks dopił kawę i powiedział: - No to chodźmy do niej.

- Zaczekaj... - odezwał się Bernard i sięgnął do kieszeni po kluczyki od samochodu. - Może nie będę jej teraz przeszkadzać? Przecież im lepiej wypocznie, tym szybciej wydobrzeje, prawda?

- Właśnie - potwierdził Maks. - Odprowadzić cię?

- Nie, dziękuję. Trafie.

Panowie podali sobie ręce i Bernard, nawet nie kiwnąwszy Halley głową, wyszedł.

- Dobrze się czujesz? - spytał Maks.

- Tak. - Zazgrzytała zębami, zanim zmusiła się do uśmiechu. - Przyzwyczaiałam się już.

- Do czego? Do chamstwa? Halley wzruszyła ramionami.

- Cóż, jeśli się przyjeżdża zamknąć ludziom ich szpital, to trzeba być przygotowanym na wszystko.

- Barnardowi nie chodziło o szpital.

- Ale o to, że rozmawiałam z jego żoną o ich intymnych sprawach. W jego pojęciu to publiczne pranie brudów. Ucząc Mary wyznaczania cyklu, wkroczyłam w najbardziej prywatną sferę ich życia, więc nie darzy mnie sympatią. Fakt, że jestem kobietą, lekarką i że moja ekspertyza może przyczynić się do zamknięcia szpitala, to tylko dodatkowe okoliczności.

- Podziwiam twój optymizm.

- Dzięki. - Podeszła do zlewu, wypłukała kubek. Tłumiąc ziewnięcie, powiedziała: - To był długi dzień.

- Sprawdźmy, jak się mają nasi podopieczni i jedźmy do domu.

- Zgoda.

Mary spała, Alan rozmawiał z siostrą, która właśnie wróciła z bankietu. Pożegnawszy się pielęgniarkami, poszli na parking. Milczeli. Halley znowu zaczęła się czuć nieswojo w ciasnym wnętrzu samochodu Maksa.

- Mam nadzieję, że rano Mary poczuje się lepiej - powiedziała, by przerwać krepujące milczenie.

- Na pewno. Wiesz może, dlaczego nie chciała wracać do domu?

- Nie, ale postaram się dowiedzieć. Miałam zamiar przeprowadzić badania, dlatego odczuwa ból podczas stosunku, więc skorzystam z okazji i rano się do tego zabiorę.

- Co podejrzewasz? Halley wzruszyła ramionami.

- Istnieje kilka możliwości, po prostu trzeba je kolejno wyeliminować. Może to być zwykła infekcja. Naprawdę trudno powiedzieć, dopóki nie przeprowadzi się analiz.

- Rozumiem.

- Wiesz... często się zastanawiam, co decyduje, że ludzie dobierają się w pary - odezwała się po chwili. - Moi rodzice, na przykład, oboje kochali konie. Zawsze pragnęli mieć kawałek ziemi na wsi, gdzie mogliby odpocząć i pojeździć.

- I zrealizowali swoje marzenie?

- Tak, ale dopiero kiedy ojciec wycofał się z czynnego życia zawodowego. Nigdy wcześniej nie widziałam ich tak szczęśliwych.

- Czyli ojciec już nie zajmuje się firmą?

- Zajmuje, ale przyjeżdżają do miasta na kilka dni, załatwiają sprawy i wracają tam, gdzie są najszczęśliwsi.

Mary wydaje się szczęśliwa tylko wtedy, kiedy piecze i zajmuje się domem. Jakim człowiekiem jest Bernard?

- Szowinistyczną świnią.

- To zdołałam zauważyć. Jakim jeszcze?

- Co masz na myśli?

- Widziałeś ich razem? Mają jakieś towarzystwo?

Wspólne hobby?

Maks zmarszczył brwi.

- Nic mi nie wiadomo. Zazwyczaj trzymają się na uboczu.

Zajęci własnymi sprawami.

Halley westchnęła.

- Wydaje mi się, że zdecydowałabym się tylko na takie małżeństwo jak moich rodziców. Są tacy dobrani. - Zapatrzyła się w ciemność za oknem. - Są sobie oddani i wspomagają się we wszystkim. Prawdziwie pokrewne dusze.

- Nie każdy ma taką wizję małżeństwa jak twoja... Dojechali na miejsce. Maks zgasił silnik i nie mówiąc już ani słowa więcej, wysiadł. Halley również wysiadła i skierowała się ku drzwiom.

- To prawda - odrzekła, odpowiadając na jego wcześniejsze stwierdzenie - ale nie rozumiem, jak ludzie mogą się pobrać z pierwszą poznaną osobą i oczekiwać, że ich małżeństwo będzie udane.

- Masz na myśli Christine i mnie? - Stał i spojrzał Halley prosto w twarz.

- Mówię ogólnie.

- Nie, Halley. Podajesz swoją receptę na małżeństwo, a nie każdy musi mieć taką samą wizję. Christine i ja jesteśmy bardzo szczęśliwą parą.

- Nie wątpię - odparła z naciskiem. - Nie mówiłam o was. Podzieliłam się obserwacjami z życia moich rodziców. To moja miara i jestem szczęśliwa, że taką mam.



- Czyli moja miara nie jest dobra? Mój ojciec kochał matkę, ale ona go zostawiła. Już nigdy nie był takim samym człowiekiem.

- Widzę, że sprawa Mary i Bernarda wyraźnie cię przygnębiła - zauważyła Halley cicho.

- A co ty możesz wiedzieć o nich? Widziałaś Mary raptem dwa razy w życiu. A Bernarda raz. Ja znam ich, odkąd tu zamieszkali. Są moimi pacjentami, nie twoimi. To ja będę im pomagał w przyszłości przebrnąć przez wszystkie rafy, nie ty. Pod koniec następnego tygodnia wyjedziesz i może wtedy moje życie wróci do normy. - Spojrzał na nią lodowatym wzrokiem. - Wyjedziesz i koniec.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zatrzasnął za sobą drzwi i poszedł do kuchni. Nagle obejrzał się za siebie. Przypomniawszy sobie, że ostatni raz trzasnął drzwiami, kiedy matka ich opuściła. Potrząsnął głową, nastawił czajnik, potem opadł na krzesło przy stole.

Halley Ryan. W ciągu ostatniego tygodnia przysporzyła mu wielu kłopotów i nie mógł się doczekać jej wyjazdu. Była taka jak jego matka. Lekkomyślna i spontaniczna. On lubił ład i porządek, ona była jego całkowitym zaprzeczeniem.

Tak, pociągała go, ale nic więcej. Jednego był pewien - nie pójdzie w ślady ojca i nie zakocha się w kobiecie, która go prędzej czy później rzuci, kiedy znajdzie sobie kogoś lepszego. Czy nie podróżowała przez ostatnie dwa lata? Właśnie. Nie zechce osiąść w jednym miejscu, szczególnie na prowincji, w miasteczku takim jak Heartfield.

Ale z drugiej strony wszystko wskazuje na to, że jej się tu podoba. Zamiłowanie do wspinaczki świadczy o tym, że lubi spędzać czas na świeżym powietrzu. Za granicą też pracowała w wiejskich ośrodkach. Jest dobrym lekarzem, pracuje z zaangażowaniem i samozaparciem.

A kiedy dotknął jej ust - tylko na jedno mgnienie - poczuł, że to właśnie ona jest kobietą stworzoną dla niego.

Westchnął ciężko i wstał. Czuł do siebie niesmak, że w ten sposób myśli o Halley. Jest dorosły, potrafi zapanować nad uczuciami. Zrezygnował z herbaty, poszedł do łazienki, zaczął szykować się do spania. Dopiero kiedy już leżał w łóżku, usłyszał przyciszone odgłosy zza ściany.

Męski śmiech. Przypomniawszy sobie, że u Halley są jej bracia. Ze zdziwieniem stwierdził, że polubił Martina i Jonathana. Mimo że kierowali firmą wartą wiele milionów dolarów, nie zadzierali nosa. Maks uśmiechnął się cierpko, przypomniał sobie, w jaki sposób Dan na nich patrzył. Danowi bogaci ludzie imponowali. A wstrząs, z jakim

zareagował na wiadomość, że Halley jest ich siostrą, był wart uwiecznienia na fotografii. Maks nie znosił hipokrytów pokroju Dana. Szkoda, że Christine ma takiego ojca, ale cóż można na to poradzić.

Christine! Maks usiadł, spojrzął na zegar i przypomniał sobie, że nie pożegnał się z narzeczoną. Pomknął do szpitala, nie oglądając się za siebie. Wiedział, że dziewczyna nie będzie miała do niego pretensji, ale nie lubił takich sytuacji. Zachował się jak człowiek źle wychowany.

- Do diabła z Halley! - mruknął.

Do tego stopnia zawładnęła jego myślami, że zapomniał o całym świecie.

Następnego dnia Halley wstała i ubrała się przed wschodem słońca. Z kubkiem kawy usiadła na werandzie. Podziwiała pierwsze złote promienie wylaniające się zza horyzontu. To był urzekający widok, kojący jej skołatane myśli. Westchnęła.

Całą noc przewracała się z boku na bok, myśląc o mężczyźnie za ścianą. Bolało ją oskarżenie, że celowo mu się zwierzyła, by go dotknąć. Nieprawda! Wyznała mu tylko, co dla niej jest ważne w małżeństwie. A po tym, jak powiedział, że nie może się doczekać jej wyjazdu, oka zmrużyć nie mogła. Cały wczorajszy dzień był upiorny i wyczerpał ją nerwowo.

Kocha Maksa... i nic nie może na to poradzić. Wygląda na to, że życie spędzi w samotności, bo nigdy nie zadowolili się kimś, kto mu nie dorównuje. Teraz musi tylko jakoś wytrwać do końca tygodnia, starając się ograniczyć kontakty z nim do minimum.

Znowu westchnęła. Usłyszała, że drzwi za nią otwierają się i pewna, że to jeden z braci, spojrzała przez ramię.

- Dzień dobry. - Maks skłonił się uprzejmie. Przyglądali się sobie dłuższą chwilę, zanim Maks odezwał się znowu: - Wspaniały dzień, prawda?

- Tak - odparła. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe i musiała wciągnąć powietrze głęboko w płuca, żeby uspokoić nerwy. - Maks...? - zaczęła.

- Słucham?

- Przepraszam... Przepraszam, jeśli wczoraj mimowolnie powiedziałam coś, co cię dotknęło.

Kiwnął w zamyśleniu głową.

- W porządku.

- Nie mówisz tylko tak, z grzeczności? Uśmiechnął się słabo.

- Nie. Halley rozpromieniła się. Tych kilka minut spędzonych z Maksem poprawiło jej humor. Dopiła kawę, spojrzała na zegarek i powiedziała:

- Prawie wpół do ósmej. Lepiej jedźmy do szpitala. W ten sposób uporamy się z obchodem i zdążymy do kościoła. Chciałabym podziękować wszystkim paniom, które tak się napracowały przy wczorajszym bankiecie.

Skinął głową, odwrócił się i zniknął w swoim domu. Halley zaniósła kubek do kuchni, sprawdziła, że bracia smacznie chrapią w sypialni na górze, i dopiero wtedy wyszła.

Jazda do szpitala dwoma samochodami mogłaby się wydawać głupia, ale kto wie, jakie Maks ma plany? Poczowała, że osobne samochody oznaczają osobne życie, i tak powinno zostać.

- On jest zaręczony z Christine, a ty za tydzień wyjeżdżasz - powiedziała do siebie w drodze do szpitala.

A mimo wszystko, będąc z nim, odczuwała radość i podniecenie. Maks czynił ją szczęśliwą. Czy jest w tym coś złego? Tak, jest w nim zakochana, ale również zna swoje szanse. Maks ma zasady i ona to szanuje. Dał słowo Christine i go dotrzyma.

- Nawet jeśli to błąd - mruknęła. Zaparkowała samochód obok samochodu Maksa, wysiadła, wyprostowała się, przybrała obojętną minę.

Maksa zastała przy łóżku Alana Kempseya.

- Cześć, Halley! - zawołał Alan radośnie. Maks podał Halley kartę pacjenta z wykresem temperatury uzupełnionym przez nocną pielęgniarkę.

- Zbadałem go - mruknął. - Wszystko w porządku.

- To świetnie. Wypisujemy go do domu, tak? - Halley miała wrażenie, że Alan chciałby coś powiedzieć, ale nie ma odwagi.

- Sprawdzę jeszcze ostatnie prześwietlenia - rzucił Maks i wyszedł. Sheenę odwołano do telefonu.

Alan i Halley zostali sami.

- Wiesz - zaczął chłopak, spoglądając w stronę drzwi, jak gdyby sprawdzał, czy ktoś nie idzie - skorzystam z okazji, że Maksa nie ma i poproszę cię o coś.

- Słucham.

- Zastanawiam się, czy... czy w tym tygodniu nie mogłabyś przychodzić do mnie zamiast niego. Moglibyśmy porozmawiać o górach, zanim wyjedziesz...

- Rozumiem - zaczęła - ale będzie znacznie korzystniejsze dla twojego zdrowia, jeśli to Maks będzie kontynuował leczenie i odwiedzał cię w domu. On jest twoim lekarzem rodzinnym i niech tak zostanie. Mnie już tu za tydzień nie będzie.

Alan spuścił wzrok, ale zaraz podniósł głowę.

- Zgoda, ale... dlaczego nie miałabyś tu zostać?

- Zostać?

- Tak. Zostać tutaj w Heartfield. W mieście przydałby się drugi lekarz, a tobie się tu chyba spodobało.

Halley była oszołomiona. Nigdy jej nawet do głowy nie przyszło, że mogłaby tu się osiedlić, ale odpowiedź miała gotową.

- To niemożliwe - powiedziała szybko. - Mam rozmaite sprawy, a wydział zdrowia na pewno coś mi zaproponuje, jak tylko skończę swoją misję tutaj.

- Przecież nie musisz przyjmować ich propozycji.

Halley wzruszyła ramionami. Czuła się jak osaczone zwierzę. Nie mogłaby tutaj zostać, ponieważ zakochała się w mężczyźnie zaręczonym z inną. Widzieć Maksa i Christine małżeństwem, pracować z nim i nie móc być z nim, równało się dla niej wyrokowi śmierci.

- To się nie uda - odezwała się w końcu. - Tymczasem niech Maks cię leczy. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Ale ciesz się. Wracasz do domu.

Nadejście Maksa z Agnes przerwało im rozmowę.

- Zdjęcia są w porządku - oznajmił Maks.

- Przynajmniej obiecaj, że przed wyjazdem złożysz autograf na moim gipsie. Słowo? - poprosił Alan.

- Słowo. - Halley odetchnęła z ulgą. - Kto następny, doktorze Pearson? - spytała.

Pożegnali się z Alanem i przeszli do pokoju Mary.

- Świetnie to rozegrałaś - pochwalił ją Maks.

- Słucham?

- Mówię o Alanie. Słyszałem waszą rozmowę i uważam, że świetnie sobie z nim poradziłaś.

- Czyli już nie będziesz mi prawil kazań o flirtowaniu z pacjentem?

- Nie. Wytrzymała jego spojrzenie, chociaż czuła, że obecność

Maksa działa na nią obezwładniająco. Bojąc się, że upadnie, oparła się o niedomknięte drzwi i ku przerażeniu Mary wpadła zniecka do pokoju, niemal tracąc równowagę.

- Przepraszam - bąknęła. - Jak się czujesz? - spytała już pewnym głosem.

- Dziękuję, lepiej - odparła Mary potulnie.

- Obejrzymy twoją nogę. - Halley odsunęła nieskazitelnie białe prześcieradło. - Dobra robota, przyznam nieskromnie - skomentowała.

- Chyba nie powiesz, że nie potrafisz szyć? - odezwał się póżartem Maks.

- Jak widzisz, igłą posługuję się całkiem sprawnie - odparła. - Za to drutami pożał się Boże.

Mary wybuchnęła śmiechem, lecz nagle jęknęła.

- Coś cię boli? - Maks i Halley spytali jednocześnie.

- Jestem cała potłuczona - poskarżyła się Mary.

- Całe szczęście, że nie złamałaś kości biodrowej. Mary spojrzała na nich zaniepokojona.

- Co teraz będzie?

- Cóż - odezwała się Halley - pamiętasz, jak w piątek mówiłam o pewnych badaniach? - Urwała i poczekała, aż Mary skinie głową. - Uznaliśmy z Maksem, że lepiej zabrać się do tego wcześniej.

- Taak... Co to za badania?

- Morfologia i analiza moczu. Chcemy wyeliminować infekcję.

- Infekcję! Sądziłam, że... tylko ludzie, którzy zmieniają partnerów, miewają infekcje. Ja poza Bernardem...

- Są różne rodzaje infekcji - zaczął Maks. - Ty możesz mieć przykładowo infekcję pęcherza albo nerek, i to leczymy antybiotykami.

- Ale ból pojawia się od lat. Odkąd pierwszy raz... - Mary spuściła wzrok i spojrzała na swoje zaciśnięte ręce.

- Czyli od pierwszego stosunku, tak? - upewniła się Halley, a Mary kiwnęła głową.

- Wybacz, że pytam - wtrącił Maks - ale czy Bernard zmusza cię do odbywania stosunków?

- Nie! Nie! - zaprzeczyła Mary. - Jeśli odmawiam, on nigdy... Bernard jest dżentelmenem. Ale kiedy się Kochamy, mnie boli. Mówiłam mu, ale on twierdzi, że jeśli będziemy się częściej kochać, ból minie. Z początku sądziłam, że to normalne, ale potem zaczęłam wątpić. I dlatego...

- Dlatego przyszedł do mnie? - spytał Maks.

Mary potwierdziła sinieniem głowy.

- Nie wiedziałam, jak to powiedzieć - wyznała Mary cicho. Widać było, że jest bardzo zażenowana.

- Ale teraz już się wszystko wyjaśniło - powiedziała Halley krzepiąco. - Wiedz, że nie jesteś jedyna.

- Właśnie - wtrącił Maks. - Wiele kobiet odczuwa ból podczas stosunku i w dziewięciu przypadkach na dziesięć przyczynę daje się ustalić.

- I to właśnie musimy zrobić - dodała Halley. - A teraz nadarza się świetna okazja - powiedziała, wypisując zlecenie na wykonanie pełnej morfologii i analizy moczu.

- Czy możesz zostać jeszcze na chwilę? - spytała Mary, kiedy Maks zniknął za drzwiami.

- Oczywiście - odrzekła Halley. Maks, którego Mary nie mogła już widzieć ze swojego łóżka, obejrzał się i porozumiewawczo kiwnął do Halley głową. - O co chodzi?

- Pamiętasz, jak spytałam, czy byłeś kiedyś zakochana, a ty odpowiedziałas, że to stan tak zaraźliwy jak śmiech, tak obeszpośredni jak kichanie i czasami tak uprzykrzony jak czkawka? - Halley kiwnęła głową. Owa złota myśl wydawała jej się teraz jeszcze bardziej prawdziwa niż wówczas. - Cóż, chyba masz rację. Kiedy Bernard poprosił o moją rękę, wydawało mi się, że jestem w nim zakochana. Nie ze wszystkiego zdawałam sobie wtedy sprawę. Ale teraz... wiesz,



wspólne mieszkanie naprawdę otwiera oczy i pomaga zobaczyć ukochaną osobę w prawdziwym świetle.

- Hm.

- Kocham go - ciągnęła Mary, bliska łez - ale małżeństwo nie jest już tym, czym było na początku. Czy to coś złego?

- Nie - odparła Halley szybko. - Nie ma w tym nic złego. Czasami tak bywa. Moja mama mówi, że trzeba ze sobą szczerze i otwarcie rozmawiać. Małżeństwa przeżywają wzloty i upadki, ale pamiętaj, to w gorszych chwilach zaczynamy doceniać to, co było dobre.

Mary kiwnęła głową.

- Wiem, że to wygląda tak, jak gdyby Bernardowi bardziej zależało na pracy niż na mnie, ale on naprawdę poświęca mi dużo uwagi i bywa bardzo kochany, chociaż nie zdaje sobie sprawy z tego, na czym polegają moje problemy. Jak mam mu to uświadomić?

- Może to, co stało się teraz, da mu do myślenia? Błagałaś, żeby zatrzymać cię na noc. Dlaczego?

Mary wzdrygnęła się.

- Chyba czułam się niepewnie. Obawiałam się, czy Bernard będzie chciał się mną opiekować. Nigdy nie powiedział mi, że mnie kocha. Już nie wiem, co robić... - Mary zaniósła się szlochem, a Halley objęła ją serdecznie i zaczęła szeptem pocieszać.

Drzwi do pokoju uchyliły się. Maks spojrzął na Halley pytająco. Gdy potrząsnęła głową, wycofał się w milczeniu. Pozwoliła Mary się wypłakać, wysłuchała jej zwierzeń. Nie zdążyła do kościoła, ale miała poczucie, że bardziej była potrzebna tej kobiecie.

Kiedy Mary usnęła, Halley zaczęła szukać Maksa. Od Sheeny dowiedziała się, że jest w gabinecie. Drzwi nie były zamknięte. Gdy zapukała, Maks natychmiast podniósł głowę znad papierów.

- I jak?

- Zasnęła - odparła Halley i opadła na krzesło. - Ilu terapeutów zajmujących się poradnictwem małżeńskim macie w Heartfield? - spytała, chociaż odpowiedź znała.

- Aż tak źle?

- Musimy sprawić, żeby Bernard porozmawiał z żoną. I żeby Mary porozmawiała z nim. Potrzebna jest dyskusja przy okrągłym stole, a im prędzej, tym lepiej.

- Bernardowi nie spodoba się, że ktoś obcy ingeruje w ich sprawy.

- Wiem, ale Mary tego potrzebuje. Ona potrzebuje fachowej pomocy - oznajmiła Halley z naciskiem. - Nie kogoś z rodziny czy spośród przyjaciół. Mary i Bernard muszą zacząć rozmawiać, i to szybko. On musi przede wszystkim zrozumieć, że ból, jaki Mary odczuwa, to nie jest jej wina. I że nie dlatego nie mają jeszcze dzieci. On nie zmusza jej do współżycia, ale podejrzewam, że z powodu jego nastawienia Mary uwierzyła, że to z powodu bólu nie zaszła w ciążę. - Halley wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

Maks odchylił się na krześle i z uwagą ją obserwował.

- Widzę, że toczysz pianę - zażartował.

- I nic dziwnego. Mary wyrzuciła z siebie żale nagromadzone w ciągu całego życia i chociaż zrobiłam podstawowy kurs psychologii, nie jestem terapeutą! Jestem wściekła na rodziców obojga, Mary i Bernarda. Z tego, co mi powiedziała, wynika, że ojciec wmówił jej miłość do tego chłopaka.

- Ejże! Czy nie patrzysz na nich przez pryzmat osobistych doświadczeń?

- Ona odsłoniła się przede mną, a ja z kolei mówię to wszystko tobie. To prawda, moje osobiste uczucia też tu odgrywają pewną rolę, choć nie powinny. I dlatego uważam, że oboje musimy zająć się tą parą.

- Ależ Halley! Ty będziesz tu jeszcze pięć dni!

- I dlatego trzeba przystąpić do rzeczy bez zwłoki. Mary nareszcie zdobyła się na odwagę, żeby wyznać, co ją trapi. To jest wołanie o pomoc. I ona się już nie cofnie. Po raz pierwszy w życiu przemówiła własnym głosem. A jeśli Bernard nie przyjmie do wiadomości faktu, że coś trzeba w ich małżeństwie zmienić, już wkrótce może nie mieć żony.

- Ona nie jest chyba na granicy samobójstwa? - zaniepokoił się Maks.

- Nie. Ale mówi: dość! Nie chce być dłużej traktowana tak jak do tej pory. I rzecz nie w tym, że nie lubi tego, co robi, to znaczy bycia panią domu, brania udziału w różnych społecznych inicjatywach i tak dalej. Ona domaga się szacunku ze strony męża. Chce, żeby ją szanował, traktował po partnersku. Czy to tak wiele?

Maks powoli wypuścił powietrze z płuc i potrząsnął głową.

- Nie. Porozmawiam z nim i umówię na wieczór.

- Zgoda.

- Ale przedtem poproszę, żebyś wprowadziła mnie w szczegóły, żebyśmy mogli rozplanować tematykę spotkań.

- Ale jeszcze przedtem przyniosę nam kawy.

- Znakomity pomysł.

Dwie godziny później, kiedy wciąż jeszcze omawiali problemy Bernarda i Mary, zadzwonił telefon.

- Doktor Pearson. Słucham... - powiedział Maks. - Cześć, Christine... Tak, jest tutaj. - Zerknął na zegarek. - Dobrze. Spotkajmy się w piekarni i zjedzmy razem lunch... No to do zobaczenia. - Odłożył słuchawkę. - Wpół do pierwszej. Nic dziwnego, że mi kiszki marsza grają. - Wstał, przeciągnął się. - Chodźmy - rzucił.

- A co z Bernardem? - zaniepokoiła się Halley.

- Zajmiemy się nim później. Chodźmy. Uprzedzili Sheenę, gdzie będą, i skierowali się w stronę parkingu. Po drodze cały czas dyskutowali, jak pomóc Mary i jej mężowi. Kiedy dojechali do piekarni, Halley zobaczyła nie tylko Christine, ale i swoich braci.

- Cześć! Spakowani? - przywitała ich.

- Myślałby kto, że się chcesz nas pozbyć - zażartował Jon, zerkając na Christine, która uśmiechnęła się do niego.

Och, tak, niech jada, pomyślała Halley, widząc, co się święci.

- Co robiliście od rana? - spytała, kiedy już usiedli i złożyli zamówienia.

- Widzieliśmy się z Danem - oświadczył Jon. - Planujemy zwiększyć produkcję i otworzyć nową fabrykę, a ponieważ nie będzie przy niej punktu sprzedaży detalicznej, lokalizacja jest obojętna.

Halley spojrzała na brata zdumiona.

- I chcecie zbudować ją tutaj? W Heartfield?

- A dlaczego nie? - Jon wzruszył ramionami. - Do Melbourne nie jest stąd aż tak daleko, a okolica piękna...

Halley przeniosła wzrok na Marty'ego.

- Cóż, Mała, to pomysł Jona - powiedział.

- Nie wątpię - mruknęła. Kiedy wszyscy zajęci byli jedzeniem, Maks pochylił się w stronę Halley i ściszym głosem spytał:

- Dlaczego uważasz, że to zły pomysł, żeby twoi bracia otworzyli tu fabrykę?

Halley spojrzała na niego oszołomiona. Czy on jest ślepy? Czy nie widzi, że Jon podrywa mu narzeczoną?

- A ty uważasz, że dobry?

- Tak. Moim zdaniem znakomity. Nasze miasto potrzebuje nowych inwestycji.

Halley w milczeniu potrząsnęła głową.

- A jak twój ojciec przyjął tę wiadomość? - zwróciła się do Christine, chociaż знаła odpowiedź.

- Jest ogromnie przejęty. Razem z Bernardem pojechali do biura przedyskutować szczegóły. - Widać było, że Christine również jest ogromnie przejęta. - Dla nas tutaj to właśnie to, czego wszystkim potrzeba.

Aha, pomyślała Halley. Wyjaśniło się, dlaczego Bernard nie przyjechał do szpitala zobaczyć się z żoną.

Temat budowy nowej fabryki zdominował rozmowę. Po lunchu Halley uścisnęła braci i serdecznie ucałowała.

- Jedźcie ostrożnie - upomniała. - I zadzwońcie, jak będziecie na miejscu, żebym wiedziała, że dojechaliście szczęśliwie.

- Jest jeszcze gorsza od mamy - mruknął Marty konspiracyjnym szeptem. Wszyscy roześmieli się.

- Polubiłem twoich braci - oznajmił Maks w drodze powrotnej do szpitala. - Cieszę się, że ich poznałem - dodał, a Halley coś zdawkowo mruknęła. - Naprawdę nie podoba ci się ich plan uruchomienia tutaj fabryki? - spytał.

- Nie.

- Dlaczego? Podaj jeden rzeczowy argument przeciw. Była w rozterce. Czy powinna oświecić Maksa, że Jon stracił głowę dla Christine? Czy Maks czuje się tak pewny jej uczuć, że przymyka oko na flirt z innym? Jak mógł niczego nie zauważyć? Z drugiej strony, ona sama zwróciła na to uwagę tylko dlatego, że zna braci na wylot. Ale czy może powiedzieć coś, co postawi Jonathana w złym świetle? Wobec kogo ma być lojalna, wobec rodziny czy wobec mężczyzny, którego pokochała?

Tymczasem dojechali przed szpital i Maks zgasił silnik.

- No? Podaj jakiś powód. Dlaczego uważasz, że to taki zły pomysł?

Halley odpięła pas i spojrzała na Maksa.

- Nie mam zastrzeżeń do pomysłu jako inwestycji. Teren i koszty utrzymania będą znacznie tańsze tu niż na obrzeżach Melbourne. Zgadzam się, że okolica jest piękna, a miastu fabryka doda bodźca do rozwoju.

- Tak. Mów dalej. Mów... Halley wzięła głęboki oddech.

- Rzecz w tym, że chłopcy... a zwłaszcza Jon, bo ten pomysł to najwyraźniej jego dziecko, będą tu spędzać sporo czasu.

- Wspinać się? O to ci chodzi?

- To też, niejako przy okazji, ale nie w tym rzecz. - Halley spuściła wzrok, spojrzała na swoje ręce. Modliła się, by zadzwonił pager, telefon, żeby zdarzyło się cokolwiek, co wybawiłoby ją z tej kłopotliwej sytuacji. Niestety na próżno.

- Czy rzecz w tym, że twój brat... interesuje się moją narzeczoną? - wyręczył ją Maks.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wiedział, że wyrazu zaskoczenia na twarzy Halley nigdy nie zapomni. Z westchnieniem ulgi przyłożył głowę do poduszki. Nareszcie w domu. Dzień był pełen niespodzianek, jednych dobrych... innych raczej przykrych.

Do tych dobrych można zaliczyć to, że Bernard okazał szczerze zainteresowanie zdrowiem żony i chociaż z początku stanowczo odmówił wszelkich rozmów na temat ich problemów małżeńskich, w końcu dał się przekonać. Mary prosiła, by poddał się terapii wraz z nią, dla ratowania ich związku. Wydawał się szczerze zdziwiony tym, że nie jest szczęśliwa.

Z drugiej strony, myśli Maksa cały czas krążyły wokół Halley i Christine. Nie zaskoczyło go to, że ta ostatnia była dziś bardziej ożywiona niż zwykle. Od wczorajszego poranka, kiedy przedstawiono jej brata Halley, zaszła w zachowaniu Christine subtelna zmiana, a dzisiaj podczas lunchu zauważył, że jego narzeczona odwzajemnia zainteresowanie Jona.

Najbardziej zdumiała go jednak własna reakcja. Nie odczuł nawet najśłabszego ukłucia zazdrości. Nawet teraz, gdy przypominał sobie, jak Christine uśmiechała się do Jona, jak zaśmiewała się z jego dowcipów, pozostawał obojętny!

A jednak kiedy Alan Kempsey po raz pierwszy uśmiechnął się do Halley, Maks z trudem zapanował nad sobą. Miał ochotę rozerwać chłopaka na strzępy! Przecież to był klasyczny atak zazdrości! Ta świadomość przyprawiła go o ból głowy. Zgasił światło i zamknął oczy.

Nie chciał już więcej roztrząsać tego wszystkiego. Pragnął zasnąć, odprężyć się fizycznie i psychicznie. Zaczął myśleć o muzyce, zanucił fragment jakiegoś klasycznego utworu, co zawsze pomagało mu zasnąć. Dla relaksu skupił się na ćwiczeniach oddechowych. Nareszcie wszelkie troski zaczęły się od niego oddalać...

Kilka minut później zza ściany dobiegło ciche nucenie. Halley! A już się łudził, że wygnał ją ze swoich myśli. I tak było zawsze. Teraz nawet wypróbowane wcześniej techniki relaksacyjne nie pomagały.

Nakrył głowę poduszką. Jego wyobraźnię zdominowały obrazy Halley szykującej się do snu. Na pewno śpi w takiej przezroczystej koszulce, jakie eleganckie kobiety tak lubią. Nie, nie. Przecież ona nie nosi sukienek. Śpi w piżamie. Tak. To do niej bardziej podobne. Krótkie spodnie i koszulka. Zaczął oddychać szybciej. Ma gołe nogi, góra jest luźna, wystarczy wsunąć pod nią rękę...

Usiadł gwałtownie na łóżku, cisnął poduszkę w kąt.

- Precz z moich myśli - mruknął pod nosem i drżącą ręką przeczesał włosy.

Nucenie ustało. Pożałował, że rzucił poduszką o ścianę. Halley mogła się przestraszyć. Powinien zajrzeć do niej, zobaczyć, jak się czuje. Odsunął kołdrę i już miał zamiar wstać, kiedy nagle zrezygnował. Gdyby teraz poszedł do domu obok, złamałby wszystkie przysięgi, wszystkie przyrzeczenia, jakie uczynił nie tylko wobec Christine, ale wobec samego siebie.

Halley pociągała go i nawet jeśli ogarniało go podniecenie, wiedział, że niedługo nastąpi koniec tortur. Musi wytrzymać jeszcze sześć dni. Pięć dni pracy, a w sobotę ona wyjeżdża. Na zawsze!

Podniósł poduszkę i wrócił do łóżka. Natężył słuch, chcąc wyłowić dźwięki zza ściany, ale tam zaległa całkowita cisza. Halley chyba położyła się do łóżka, tego, które była zmuszona wynieść do salonu. Gdyby ją spotkał, zanim oświadczył się Christine... Cóż to by była za różnica, pomyślał. On i Halley zbyt różnili, by ich związek miał szanse przetrwać. Maks wepchnął sobie poduszkę pod plecy, ręce założył za



głowę, wzrok utkwił w suficie. Najwyraźniej czeka go bezsenna noc.

W poniedziałek i wtorek Halley skoncentrowała się na pracy. Podczas spotkań z Makssem starała się zachowywać w sposób rzeczowy i ograniczać do spraw ściśle zawodowych. Maks poinformował ją, że Alan odzyskuje siły i coraz sprawniej porusza się o kulach.

Tylko wizyty u Clarabelle stanowiły dla niej ukojenie. Tylko tam czuła, że może być sobą, a kiedy zajrzała do starszej pani w środę, ucieszyła się, widząc, że jej podopieczna wstała i powoli usiłuje chodzić. Rana na nodze w końcu się zagoiła.

- Tylko się nie forsuj - ostrzegła ją Halley.

- To samo powiedziała Kylie - odparła Clarabelle. - I Christine, jak była u mnie dziś rano.

- Christine? - zdziwiła się Halley. Wnuczka rzadko odwiedzała babkę przed południem. - Była tutaj? Nie przyjdzie po południu?

- Nie. Jadą z ojcem oglądać teren pod przyszłą fabrykę twojego brata.

Halley własnym uszom nie wierzyła.

- To Jon przyjeżdża? Clarabelle spoważniała.

- Nie wydaje mi się - odparła. Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu, uniosła nogi. - Dość tej gimnastyki - uznała, kładąc się, i dodała: - Wiesz, Christine bardzo się interesuje tym przedsięwzięciem. Powiedz mi...

- Tak?

- .. .więcej o swoim bracie, Jonie. Sprawia wrażenie bardzo sympatycznego człowieka.

Halley uśmiechnęła się mimowolnie.

- Marty też jest bardzo sympatyczny, nie sądzisz? - zauważyła ostrożnie.

- Rozumiem teraz, dlaczego rodzice nazwali go Jowisz - ciągnęła Clarabelle, ignorując uwagę Halley o drugim bracie. - Jest wysoki...

- Tak, ma równo dwa metry wzrostu. Ja wolę mężczyzn odrobinę niższych. Metr dziewięćdziesiąt góra.

- Takich jak Maks... - rzuciła Clarabelle, nie spuszczać oczu z Halley.

- To Maks ma tyle wzrostu? Nie zauważyłam. - Halley starała się przyjąć nonszalancki ton, ale nie była pewna, czy jej się to udało.

- Nie staraj się mnie oszukać, moje dziecko - poprosiła starsza pani. - Wiem, że zauważyłaś wszystko, co ma jakikolwiek związek z Maksem. Nie zaprzeczaj.

Halley przymknęła na moment oczy. Musi zdecydować, jaką przyjąć linię postępowania. Lubiła Clarabelle, od pierwszej chwili zrodziła się między nimi więź porozumienia, a poza tym rozpaczliwie pragnęła z kimś porozmawiać.

- Dobrze, masz rację - rzekła cicho, unosząc powieki. - Lubię Maksa.

- I...

- I... pociąga mnie. Lubię być w jego towarzystwie.

- Jesteś w nim zakochana czy nie? Halley wstrzymała oddech, zanim odpowiedziała:

- Tak.

- Wiedziałam! - wykrzyknęła zadowolona Clarabelle i klasnęła w dłonie. - Jak tylko pierwszy raz weszłaś do tego pokoju, wyczułam coś między wami. Jak się cieszę, że przeczucie mnie nie myliło!

- Tylko nie upajaj się tą nieomylnością - zażartowała Halley.

- I co zamierzasz zrobić?

- Z czym?

- Z Makssem, oczywiście. Nie możesz dopuścić, żeby ożenił się z Christine! Oni są prawie... jak brat i siostra. A rodzeństwa się ze sobą nie pobierają.

- Mam poprosić Maksa, żeby złamał słowo?

- Tak.

- Nie mogę! Jedną z cech Maksa, które najbardziej podziwiam, jest jego honor. Maks jest człowiekiem, na którym można polegać. Prosić go, żeby złamał słowo, to próbować go zmienić.

- Wolisz więc spędzić resztę życia sama, ze świadomością, że mężczyzna, którego kochasz, poślubił inną?

- spytała Clarabelle. - Sądziłam, że stać cię na więcej.

- Tym razem intuicja cię zawiodła.

- A gdyby to Christine zerwała zaręczyny?

- Wybacz, ale Christine nie wydaje mi się osobą, która miałaby odwagę zrobić coś takiego. - Clarabelle przytaknęła skinieniem głowy. - Gdyby ona zerwała zaręczyny, świadczyłoby to o jej dążeniu do większej samodzielności, niezależności, i zerwaniu z wygodnym ciepłym tatusiowego domu.

- Stosujesz podwójną miarę.

- Nie. Oświadczając się Christine, Maks wiedział, co robi. I dlatego jego słowo ma większy ciężar gatunkowy.

- Według ciebie Christine nie wiedziała, co robi, zaręczając się z nim?

- Tak.

- Zgadza się z tobą. W oczach jej ojca Maks jest mężczyzną ustabilizowanym, któremu zależy na Christine i który otoczy ją opieką. Mojego syna trudno zadowolić, a wiem, że Christine stara się spełniać jego życzenia. Przyjmując oświadczenia Maksa, zagwarantowała sobie bezpieczną i wygodną przyszłość. Dzięki małżeństwu z nim

nie będzie musiała zadawać sobie trudnych pytań, odkrywać, kim właściwie jest.

- Halley kiwnęła głową. - Gdy tymczasem w obecności twojego brata zaczęła się zmieniać. - W oczach Clarabelle pojawił się błysk emocji. - Christine przyjechała po mnie

- ciągnęła - i przez całą drogę do miasta mówiła tylko o Jonie. Ostatni raz widziałam ją tak przejętą w Boże Narodzenie, kiedy miała osiem lat, a ojciec gdzieś wyjechał. Tamtego roku miałyśmy we trzy świetną zabawę. Kiedy Maks pocałował cię pod jemiolą, zobaczyłam twoją minę i dlatego nie rozumiem, na co czekasz, moja droga.

- Czy nie pozwalasz sobie na zbyt wiele, Clarabelle? - zachnęła się Halley. - Może i zrobiłam wrażenie na Maksie, ale z pewnością jego uczucia do mnie nie są takie same jak moje do niego. On nie może się doczekać, kiedy wyjadę!

Clarabelle machnęła tylko ręką.

- Brednie! Jest w tobie tak samo zakochany, jak ty w nim. Głowę dam. A chce, żebyś wyjechała, bo twoje pojawienie się wprowadziło zamęt w jego uporządkowane życie i nie może się w tym wszystkim odnaleźć. Im szybciej wyjedziesz, tym szybciej wszystko wróci do normy. Biedak nie wie jednak tego, że po twoim wyjeździe nic już nie będzie takie jak przedtem. Odmieniłaś jego życie na zawsze, Halley.

- Hm... To się okaże. Clarabelle roześmiała się.

- Mówisz zupełnie jak on. Widzisz, jak bezwiednie przejęłaś jego zwyczaje? To urocze, naprawdę - rozczuliła się. Halley także się roześmiała.

- Na razie wiem jedno, w sobotę rano wyjeżdżam.

- Na twoim miejscu nie zarzekałabym się tak - ostrzegła ją Clarabelle, a kiedy Halley chciała zaprotestować, uciszyła ją gestem.

Po tej wizycie Halley pojechała do Mary Simpson. Noga goiła się dobrze. Wyniki analiz krwi i moczu były negatywne.

- Więc co mi jest? Powiedz? - prosiła Mary, gdy Halley wniosła tacę z dwiema filiżankami herbaty i pysznymi domowymi herbatnikami, które znalazła w puszcze w kuchni.

- Dyspareunia może mieć wiele przyczyn, ale w twoim przypadku chodzi o skurcze mięśni macicy. Taka dolegliwość nazywa się pochwicą. - Podbródek Mary zaczął nagle drgać i Halley uśmiechnęła się łagodnie, by dodać jej otuchy.

- Nie jest to wcale taka rzadka przypadłość, jak ci się zdaje - powiedziała. - U ciebie występuje w łagodnej formie, ale bywają również takie przypadki, że niemożliwe staje się nawet badanie ginekologiczne. Wiele kobiet doświadcza podobnego bólu, ale jego przyczyna ma zazwyczaj podłoże bardziej psychiczne niż fizjologiczne. Mary kiwnęła głową.

- Już to mówiłaś, ale u mnie...

- U ciebie może to wynikać z rygorystycznego wychowania i urazu po pierwszym bolesnym stosunku.

- Sądzisz, że można mnie wyleczyć?

- Oczywiście - zapewniła ją Halley. - Fakt, że twój mąż deklaruje chęć rozmowy na ten temat, ma wielkie znaczenie. Wina za ten stan nie leży tylko po twojej stronie. Bernard musi nauczyć się ci pomagać, żeby pożycie dawało wam obojgu satysfakcję. To może potrwać, ale jeśli oboje będziecie tego pragnęli, z pewnością przyniesie rezultaty.

- A dzieci?

- Warunki fizyczne masz doskonałe, ale psychicznie nie jesteś jeszcze przygotowana do macierzyństwa. Najpierw musicie z Bernardem rozwiązać swoje problemy. Przy okazji zleciłam też zbadanie poziomu hormonów, i tu wszystko jest w porządku.

- Czyli to znaczy, że pewnego dnia możemy mieć pełną rodzinę, tak?

- Tak. Pewnego dnia. Pierwszy krok to nauczyć się ze sobą rozmawiać szczerze, bez skrepowania. Musicie też

nauczyć się rozumieć swoje ciało i wyzbyć zahamowań. Wspólnie pokonacie trudności. Potrzebna jest tylko wytrwałość i siła woli, a tego wam obojgu nie brakuje, prawda?

Rozmawiały jeszcze chwilę o tym i o owym, w końcu Halley pożegnała się.

- Będzie mi ciebie brakowało - powiedziała Mary, kiedy Halley wkładała płaszcz.

- Mnie ciebie też, ale moja wizytacja miała trwać tylko dwa tygodnie. Cóż...

- Ale wpadniesz nas odwiedzić? Raczej nie, pomyślała Halley, głośno zaś powiedziała:

- Wszystko możliwe. Do zobaczenia jutro. Idąc do samochodu, usłyszała:

- Pani doktor? Obejrzała się za siebie, nie bardzo wiedząc, kto ją woła, i wtedy zobaczyła panią Smythe stojącą w uchylonych drzwiach swojego domu.

- Dzień dobry - odparła i zawróciła. - Jak się pani dziś czuje? - spytała. Zauważyła, że kobieta ciężko opiera się o framugę drzwi.

- Chwycił mnie ostry ból. Zimą mój artretyzm zawsze ostro daje mi się we znaki. Proszę, niech pani wejdzie - zaprosiła. - Przygotowałam dla pani zapiekanekę.

- Dziękuję. To bardzo miło z pani strony - rzekła Halley, idąc za gospodynią do kuchni. - To wszystko dla mnie? - wykrzyknęła na widok trzech dużych form.

- Musi pani coś jeść, moja droga. Jeszcze trzy dni...

- Ależ jedna całkowicie wystarczy. Akurat na trzy razy. Pani zapiekanki są bardzo sycące - broniła się Halley.

- Nonsens. Muszę tylko znaleźć jakieś pudełko, żeby nie zabrudziły pani samochodu. Tam jest spiżarnia - wskazała drzwi. - Niech pani tam zajrzy i coś wybierze.

Halley już sienie spierała. W spizarni znalazła pudełka poustawiane na górnej półce pod sufitem. Jak pani Smythe zdołała je tam położyć? Doszła do wniosku, że w tak zżytej ze sobą społeczności na pewno przynajmniej raz albo dwa razy w tygodniu ktoś przychodzi jej pomóc. Nagle usłyszała głuchy odgłos. Wróciła szybko do kuchni i zobaczyła panią Smythe leżącą na podłodze. Rzuciła pudełko w kąt.

- Nic pani nie jest? Jak to się stało? - pytała, jednocześnie sprawdzając puls na tętnicy szyjnej.

Pani Smythe jęknęła i przymknęła oczy. Halley szybko wyszarpnęła zza paska komórkę i zadzwoniła do szpitala.

- Sheena? Mówi Halley. Jestem u pani Smythe. Upadła.

- Już zawiadamiam Maksa i przysyłamy karetkę - odrzekła natychmiast pielęgniarka.

- Nic mi nie jest - protestowała pani Smythe, kiedy Halley skończyła rozmowę i zaczęła ją ostrożnie badać. - Już tyle razy się przewracałam... Auu! - jęknęła, kiedy lekarka dotknęła jej prawej nogi.

- Zwichnęła pani sobie biodro - stwierdziła Halley. - Nie chciałabym pani ruszać. Przyniosę koc i poduszkę, żeby pani było wygodniej. Doktor Pearson zaraz tu będzie.

Okryła kobietę i pobiegła do samochodu po torbę lekarską. Kiedy wróciła, zmierzyła ciśnienie i podała środek przeciwbólowy.

- Jak to się stało? - spytała ponownie.

- Ach, to moja wina. Chciałam podejść do stołu, ale zawadziłam balkonikiem o róg szafki. Więc pociągnęłam go do siebie trochę zbyt gwałtownie i straciłam równowagę. Stara a głupia - podsumowała.

- Niech się pani tak surowo nie ocenia. Podejrzewam, że podświadomie po prostu chciała pani zafundować sobie wakacje w szpitalu - zazartowała Halley.

- Na szczęście mamy jeszcze ten szpital - odrzekła pani Smythe i Halley poczuła się lekko zakłopotana. - Wiem, wiem, moja droga, że solidnie zabrała się pani do roboty - dodała poważnie.

Halley milczała. Nie wiedziała, jak ma jej powiedzieć, że podjęła decyzję o zamknięciu szpitala.

- Halo? - rozległ się głos Maksa.

- Jesteśmy w kuchni! - krzyknęła Halley i pobiegła pomóc mu wnieść nosze. - Pani Smythe wywichnęła sobie prawe biodro, ale poza tym nie ma żadnych obrażeń - relacjonowała.

- Prawe? Cholera! - zaklął Maks. - Pół roku temu miała wstawianą protezę. Wygląda na to - dodał, zwracając się do pacjentki - że odbędzie pani podróż do Geelong. Odwiedzi pani swojego uroczego chirurga ortopedę.

- To wprost przemiły człowiek - odparła pani Smythe z uśmiechem.

Wspólnie przenieśli kobietę do karetki. W szpitalu, czekając na transport do Geelong, zrobili prześwietlenia.

- Niewykluczone, że czeka ją ponowna operacja - powiedział Maks, oglądając zdjęcia. - Cóż, pewnie prędzej czy później musiało się tak skończyć. Jak to się właściwie stało?

Halley opowiedziała mu przebieg wizyty u pani Smythe.

- Więc przygotowała dla ciebie zapiekanki? - zdziwił się.  
- Polubiła cię.

- Nie tylko ona.

- Więc nie powiedziałaś jej? - spytał, zniżając głos, żeby nikt niepowołany nie usłyszał.

- Czego? - Udała, że nie wie, o co chodzi.

- Halley, nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Oboje doskonale wiemy, że jedyny sensowny wniosek z wizytacji, jaki możesz przedstawić w wydziale zdrowia, to zamknięcie szpitala. Ostatnie wyliczenia, które mi pokazywałaś, jednoznacznie wskazywały na takie rozwiązanie.



- Nie do mnie należy ogłaszanie decyzji.

- Po prostu nie chcesz brać na siebie całego odium - skwitował Maks, a jego ocena nie była daleka od prawdy.

Tutejsza społeczność przyjęła ją gościnnie, chociaż nie od samego początku, i czuła się wśród tych ludzi jak w domu. Nie chciała, żeby wrogość powróciła.

- Przedstawiciel wydziału zdrowia tym się zajmie.

- Tak. Przyśle pismo, które ja będę musiał oficjalnie podać do wiadomości - stwierdził z sarkazmem Maks.

- Jedyne wyjście to znaleźć drugiego lekarza.

- Co?

- Gdyby tutaj pracowało dwóch lekarzy na pełnych etatach, wówczas opłacałoby się utrzymywać szpital.

- Ba! Wiesz, jak trudno było znaleźć kogoś na półroczny kontrakt? Młodzi nie chcą pracować na prowincji, a starsi czekają tylko na emeryturę. Poza tym od lat świetnie dają sobie radę sam.

- Niekoniecznie. W ciągu mojego pobytu pomogłam ci przy operacji jako anestezjolog, jeździłam do wypadków i wzięłam na siebie część wizyt domowych. Nie. W tym szpitalu jest dość pracy dla dwóch lekarzy na pełnych etatach. W przeciwnym razie zaharujesz się na śmierć.

- Tu nie chodzi o mnie. Dlaczego nie może być tak jak było, czyli rotacja?

- Bo to zbyt drogo kosztuje wydział zdrowia, czyli podatników. Zaproponuję, żeby zgodzili się na dodatkowe zastępstwo na miesiąc, żebyś mógł dać ogłoszenie.

- Wykluczone! - zaprotestował Maks gwałtownie i odwrócił się plecami do Halley.

- Helikopter wylądował - oznajmiła Sheena. Maks wyszarpnął zdjęcia z negatoskopu i włożył je do kopert.

Wnuczka pani Smythe zapakowała torbę najpotrzebniejszych drobiazgów i miała lecieć z nią.

- Niech pani nie zapomni wziąć tych zapiekaneek - przypomniała kobieta, żegnając się z Halley.

- Dobrze - obiecała. Razem z Maksem czekali, aż helikopter wzniesie się w powietrze. Halley owinęła się połami płaszcza. Ogarnęło ją jedno pragnienie - by Maks wziął ją teraz w ramiona, powiedział, że ją kocha, błagał, by przyjęła etat w szpitalu, a na koniec oświadczył się jej.

- Lepiej odbierz te zapiekanki - rzucił Maks, odwrócił się i odszedł.

Pożegnała się z pielęgniarkami, wsiadła w samochód i pojechała do domu pani Smythe, gdzie mąż wnuczki już czekał z zapakowanymi pudełkami. Przyjechawszy do domu, Halley postawiła dwa pudełka na progu Maksa, a trzecie zostawiła sobie. Nie miała apetytu i chociaż zapiekanka była pyszna, niewiele zjadła.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni tak się zaangażowała w życie tej społeczności, że teraz czuła się niemal jak zdrajczyni. Następnym razem, mówiła do siebie, postaraj się zachować dystans.

Ponownie przejrzała dokumentację, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyła, czy nie znajdzie się coś, co pozwoli zmienić decyzję. Usłyszała, że Maks wrócił, wsłuchiwała się w odgłosy dochodzące zza ściany. Wkrótce zaległa cisza. Halley z powrotem zajęła się pracą.

Na myśl o wyjeździe łzy napływały jej do oczu. Zawiodła Maksa, mieszkańców miasteczka, a angażując się tak bardzo uczuciowo w życie tych ludzi, zawiodła siebie samą. Niczego tak bardzo nie pragnęła, jak móc tutaj zostać. Cudownie by było pracować z Maksem, dzielić z nim myśli, uśmiechy, pocałunki.

Niestety, tak się nie stanie. Maks ożeni się z Christine i kropka. Nie mogłaby zostać, codziennie spotykać się z nim i wiedzieć, że na noc wraca do innego domu.

Położyła się, wtuliła głowę w poduszkę. Płacz ukołysał ją  
do snu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następne dwa dni były bardzo trudne. Wszechogarniająca miłość do Maksa sprawiała, że każda chwila spędzona z nim, w pracy czy poza pracą, przesywała ją bólem.

W piątek po południu, kiedy żegnała się z pacjentami, ostatkiem sił panowała nad emocjami. Najcięższe było pożegnanie z Clarabelle, chociaż nowe przyjaciółki przyrzekły sobie pozostawać w kontakcie.

- Pozwalasz mu wyśliznąć ci się z rąk, moje dziecko - oświadczyła bez ogródek starsza pani, kiedy Halley zbierała się do wyjścia.

- Nigdy nie był mój - sprostowała Halley.

Ostatnią rzeczą, jaka pozostała jej do zrobienia, było przekazanie dokumentacji Maksowi i pożegnanie się. Uczyniła to w szpitalu.

- No, to chyba wszystko - oznajmiła, skończywszy podpisywanie kart pacjentów, którymi się opiekowała. Podniosła głowę znad biurka i spojrzała na Maksa.

- Świetnie - skwitował i wrócił do swoich papierów. Kiedy milczenie się przedłużało, Halley wstała.

- W takim razie pójdę sprzątnąć swoje biurko.

- Słucham? - mruknął.

- Nic - odparła i szybko wyszła z gabinetu. Kiedy zbierała teczki, siłą woli zdołała zapanować nad łzami, chociaż cały czas czuła ucisk w gardle. - To by było na tyle - mruknęła jak gdyby do siebie i rozejrzała się po pokoju.

Zawahała się chwilę, zerknęła jeszcze raz w stronę gabinetu Maksa, potem szybkim krokiem ruszyła do wyjścia i wsiadła do samochodu. Jakie to wszystko śmieszne, pomyślała w drodze do domu.

Tam czekała na nią miła niespodzianka.

- Hej! - przywitała ją ciepło Christine. Była w towarzystwie Alice z piekarni, Kylie i Sheeny oraz kilku innych pielęgniarek.

- Co się stało? - zdziwiła się Halley.

- Urządzamy babski wieczór - oświadczyła Christine ze śmiechem. - Zarezerwowałyśmy na tę okoliczność stolik w chińskiej restauracji.

Halley była wzruszona do głębi. Dała się zapakować do cudzego samochodu, a kiedy siadały przy stoliku, szepnęła do Christine:

- To twój pomysł?

- Mój - odparła dziewczyna z dumą.

- Znakomity. - Bez względu na to, czy zmiana, jaka nastąpiła w Christine, miała jakiś związek z Jonem, Halley podziwiała jej coraz większą pewność siebie.

- Wiesz, w tym tygodniu dużo czasu przebywałam z babcią - zaczęła narzeczona Maksa.

- Wspominała mi.

- I dzięki niej zrozumiałam, że... że mogę robić to, na co mam ochotę.

- Tak...

- Problem polega na tym, że teraz muszę odkryć, na co właściwie mam ochotę.

- To zawsze najtrudniejsza część.

Kelner przyjął zamówienia. Wieczór minął wśród chichotów i dziewczyńskich zwierzeń. Halley wiedziała, że zatęskni za tą atmosferą, kiedy rano będzie opuszczała Heartfield.

- Mogłabyś zostać - odezwała się Sheena, a pozostałe kobiety przytaknęły.

Halley unikała wzroku Christine.

- Miło pomarzyć. A wiecie, że nie wy pierwsze wpadłyście na ten pomysł? Problem w tym, że tego nie da się zrobić.

- Dlaczego? - dopytywała się Christine, a Halley poczuła, że serce jej bije szybciej na myśl, że mogłaby tej sympatycznej młodej kobiecie wyznać, że jest zakochana w jej narzeczonemu.

- B o . . . bo...

- Wydaje mi się, że pracuje się wam z Maksymem bardzo dobrze - ciągnęła Christine - a z mieszkaniem też nie ma kłopotu.

- Znasz już pacjentów - wtrąciła Sheena. Halley przyjrzała się otaczającym ją miłym twarzom i omal nie wybuchnęła płaczem. Poprawiła się na krześle i zmusiła do uśmiechu.

- Po pierwsze muszę przedstawić w wydziale swój raport, a oni na pewno mają dla mnie przygotowane nowe zadanie. - Starła się nadać swoim słowom ton ostateczny, a ponieważ zamówione na deser płonące lody właśnie wjechały na stół, nie padło więcej pytań.

Wróciła do domu w fatalnym nastroju. Dlaczego polubiła tutaj wszystkich? Dlaczego oni ją polubili? Dlaczego musiała się zakochać w mężczyźnie, którego nie może zdobyć?

Powoli zaczęła pakować rzeczy. Chciała być gotowa do wyjazdu zaraz po przebudzeniu. Gdyby nie była tak zmęczona, wyjechałaby już teraz, ale rozsądek ostrzegał ją, że w tym stanie mogłaby tylko spowodować wypadek.

Znowu usnęła ze łzami w oczach. Nigdy dotąd nie było jej tak źle.

Maks poderwał się ze snu. Co to za hałasy? Zerknął na zegar - dochodzi szósta. Znowu usłyszał ten sam stukot, jakby przesuwanie mebli. Natychmiast otrzeźwiało. To Halley przywraca mieszkanie do stanu, w jakim je zastała.

Wyjeżdża.

Na myśl o tym, że już jej nigdy nie zobaczy, poczuł wszechogarniającą pustkę, ból w sercu, dudnienie w skroniach. Zacisnął zęby, zmusił się do chłodnej analizy sytuacji.

Halley nie jest odpowiednią partnerką dla niego. Przecież oboje wiedzieli o tym od samego początku.

To dlaczego wszystko, co jej dotyczy, mu się podoba? Kiedy uśmiecha się do niego, czuje, jak gdyby padał na niego promień słońca. Jej śmiech napełnia go szczęściem. Kiedy na niego patrzy tymi swoimi wielkimi brązowymi oczami, pragnie porwać ją w ramiona i całować do nieprzytomności.

Maks jęknął i nakrył głowę poduszką. Halley mówi, że gdyby znalazł drugiego lekarza ogólnego, szpitala by nie zamknęto. Czyli powinien wstać, zapukać do drzwi obok i błagać ją, by została. Ale wówczas musiałby co dzień pracować razem z nią, patrzeć na nią...

A przecież minione dwa tygodnie były istną udręką! Ta kobieta doprowadza go do szaleństwa. Do tego stopnia wytrąciła go z równowagi, że z trudem myślał, pracował, realizował od dawna ustalony program dnia. Snuł erotyczne wizje... A zawsze lubił ład i porządek. W jego życiu nie ma dla Halley miejsca, stwierdził z mocą.

Gdyby teraz uległ zauroczeniu, Halley by go z początku kochała, ale później by go rzuciła. Czekalby go ten sam los co ojca. Zmieniłby się w zrzędliviego, wiecznie zirytowanego staruszka, dożywającego reszty dni w samotności.

Hałasy za ścianą ustały i chwilę później rozległo się trzaśnięcie frontowych drzwi. Zawarczał silnik jaguara, zazgrzytał żwir pod kołami, samochód ruszył.

Potem nastąpiła cisza.

Pojechała. Może już odetchnąć. Miejmy nadzieję, że teraz wszystko wróci do normy...

W poniedziałek wieczorem, po kolacji, Maks zauważył, że jego narzeczona znowu nerwowo bawi się perełkami. Przypomniawszy sobie, że przy stole, kiedy tylko następowała przerwa w rozmowie, Christine dotykała naszyjnika.

- Chodź - poprosił - usiądź. Kawy napijemy się później.

- Nie, nie, zaparzę. To żaden problem. Maks wstał, objął Christine i zaprowadził ją do krzesła.

- Usiądź, proszę. Musimy porozmawiać. Dłoń Christine natychmiast powędrowała do perełek.

Czym jest taka zdenerwowana? Czy chodzi o mnie, zastanawiał się Maks, czy o coś, a raczej kogoś innego? Już otwierał usta, by coś powiedzieć, kiedy narzeczona go uprzedziła.

- Posłuchaj, Maks - zaczęła. - Widzisz, ja nie mogę... - zająknęła się. Wstała i cofnęła się o krok.

- Czego nie możesz, kochanie? - spytał Maks.

- Nie mogę zostać twoją żoną - wyrzuciła z siebie i odetchnęła z ulgą. Intensywnie wpatrując się w Maksa, dodała:

- Już od tygodnia próbowałam ci to jakoś powiedzieć, ale nie wiedziałam, jak zacząć.

- Chodzi o Jona? - domyślił się. Na dźwięk tego imienia Christine uśmiechnęła się. Kiwnęła głową, wypuściła z palców perły.

- Tak. Kocham go - oznajmiła z namaszczaniem i zdumieniem. - Jon za kilka dni przyjeżdża i musiałam ci powiedzieć przedtem.

Maks wstał i podszedł do niej.

- Bardzo się cieszę ze względu na ciebie.

- I nie gniewasz się? - spytała.

- Nie. Życzę ci wiele szczęścia.

Halley przedstawiła raport z wizytacji w wydziale zdrowia i ucieszyła się, kiedy się dowiedziała, że jej zalecenia zostaną



zrealizowane. Modliła się, by Maks znalazł kogoś na wolny etat. To uratowałyby szpital przed zamknięciem. Zaczęła nawet szukać kandydata na własną rękę, ale bez powodzenia.

Minęło dziewięć dni od wyjazdu z Heartfield i czuła się podle. Rozkładało ją przeziębienie, a ponieważ ostatnio prawie nie spała ani nie jadła, organizm nie miał siły walczyć z infekcją. Zresztą było jej wszystko jedno.

Nagle zadzwonił telefon. Brian Newton, kolega ze szpitala miejskiego w Melbourne, przekazał jej wiadomość, że pewien pacjent, Alan Kempsey, chciałby się z nią widzieć.

Zdziwiona, pojechała do szpitala.

- Miło cię znowu widzieć - rzekła do Alana.  
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł chłopak.  
- Źle wyglądasz - zauważył. - Pracowałaś do późna?  
- Coś w tym rodzaju - mruknęła wymijająco. - Brian, twój lekarz prowadzący poinformował mnie, że złamanie się jeszcze nie zrosło.

- Właśnie. Niestety, spędzę tu jeszcze kilka dni.  
- Agnes przyjechała z tobą?  
- Nie. Ona nie lubi miasta. A ja jestem przecież dorosły. Starsza siostra nie musi prowadzić mnie za rączkę.

Halley roześmiała się.

- Co słyszeć w Heartfield? - zagadnęła. Chciała spytać o Maksa, ale oczywiście nie mogła tego zrobić wprost.

- Jowisz ci nie mówił? Spędził tam prawie cały ostatni tydzień.

- Nie widziałam się z nim.  
- Świetny facet. Odwiedził mnie kilka razy. Gadaliśmy o wspinaczkach i w ogóle. - Oczy chłopakowi zabłyśły, gdy to mówił. - Taka sława w moim domu!

- No, no.

Alan zrelacjonował Halley, z jakim entuzjazmem Dan odnosi się do projektu zbudowania fabryki, i wspomniął, że Jon zatrzymał się nie w hotelu, a u naczelnika gminy w domu.

Nic dziwnego, że nie odbiera telefonu, pomyślała Halley. Ciekawe, co na to wszystko Maks.

Gawędzili jeszcze jakiś czas o tym i owym, aż w końcu Alan ujął Halley za rękę i rzekł z błyskiem uwielbienia w oku:

- Jak dobrze cię znowu widzieć! Od tej chwili Halley miała się na baczności. Ciepło jego

dłoni było zmysłowe, palcem delikatnie pieścił jej skórę.

- Posłuchaj, Alan. Ja... - zaczęła i oswobodziła rękę.

- Chodzi o Maksa? Tak? - domyślił się chłopak.

- Słucham? - Udała, że nie rozumie.

- Jesteś w nim zakochana, prawda? Westchnęła. Nie wiedziała, jak się zachować. Na moment spuściła wzrok, ale zaraz podniosła głowę i spojrzała wielbicielowi prosto w oczy. Uznała, że winna jest mu szczerłość.

- Tak - rzekła. Alan przymknął oczy. Najwyraźniej cios był bolesny.

- Zgadłem. - Podniósł powieki, uśmiechnął się z przymusem. - Przegrałem, ale nie miej mi za złe, że stanąłem w szranki.

- Wiesz, zawsze zostaniemy...

- Przyjaciółmi?

- Bardzo bym chciała.

Porozmawiali jeszcze chwilę o wspinaczkach, ale korzystając z pierwszej okazji, Halley przeprosiła chorego, tłumacząc, że jest umówiona na lunch z Martym. Prosto ze szpitala pojechała do siedziby Planet Electronics, gdzie wszyscy powitali ją niezwykle serdecznie. Niestety, Marty wciąż jeszcze był na zebraniu, więc sekretarka wprowadziła ją do jego biura i poprosiła, by zaczekała.

- Cześć, Mała! - powitał ją brat, wchodząc do gabinetu kilka minut później. Zastał siostrę siedzącą za biurkiem, zajętą temperowaniem wszystkich ołówków i układaniem papierów w równiutkie stosy. - Przepraszam, że musiałaś czekać. Głodna?

- Zaraz będę gotowa - mruknęła, kończąc sortowanie bloczków kartek samoprzylepnych według wielkości.

- Co się z tobą dzieje? - zdziwił się Marty.

- A co ma się dziać?

- Halley! Robisz porządek na moim biurku! A przecież sama jesteś królową bałaganu! Więc nie udawaj, tylko wyrzuć z siebie, co cię gnębi.

Westchnęła i wyrównała podkładkę pod papiery.

- Nie wiem. Chyba czuję się trochę... trochę...

- Samotna? - zasugerował. - Tęsknisz za Maksem bardziej, niż podejrzewałaś. Czujesz, że życie przecieka ci przez palce?

Halley chciała roześmiać się ironicznie, lecz jej się nie udało.

- Czy... czy to aż tak rzuca się w oczy?

- Nie martw się. - Marty objął ją i uścisnął. - Nigdy nie wiadomo, co nas czeka.

- No dobrze. - Postanowiła wziąć się w garść. - Idziemy w końcu na ten lunch czy nie? - spytała.

Zanim Marty zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

- Martin Ryan... - Halley przyglądała się bratu, jak z uwagą słucha niewidzialnego rozmówcy. - Jedziemy do Wiejskiego Dworku na lunch... Dobrze, spotkamy się tam.

- Kto to był? - spytała Halley, kiedy Marty skończył rozmawiać.

- Jon.

- Wrócił?

- Na to wygląda. No, chodźmy... Nastrój Halley poprawił się w towarzystwie Marty'ego, a teraz jeszcze zobaczy drugiego brata... Chciała go wziąć w krzyżowy ogień pytań na temat Heartfield. Ledwie zdążyli usiąść przy stoliku, kiedy zjawił się Jon, górujący wzrostem nad gośćmi w restauracji.

Halley aż zaniemówiła z wrażenia, kiedy zobaczyła, że nie przyszedł sam. U boku Jona, trzymając go za rękę, stała narzeczona Maksa!

- Christine!

- Halley! - Dziewczyna rzuciła się jej na szyję. - Czy to nie cudowne?

Halley jeszcze nigdy nie widziała jej tak... tak promiennej. Spojrzała na brata. On też uśmiechał się od ucha do ucha.

- Co za niespodzianka! - Halley niczego nie rozumiała.

- Zaskoczyliśmy ją, Chrissy - ucieszył się Jon. Christine i Jon usiedli, przysuwając krzesła jak najbliżej siebie.

- Kochamy się - wyjaśnił Jon.

- Zdobyłam się na ten krok, Halley - pochwaliła się Christine. - Przeciwwstawiłam się ojcu. Oświadczyłam, że nie wyjdę za Maksa i że kocham twojego brata.

- Co na to Dan? Jon roześmiał się.

- Był uszczęśliwiony.

- A Maks?

- Nie kocham Maksa - wyznała Christine i spojrzała na Jona. - Nie tak jak kocham jego.

- No widzisz, Halley? - wtrącił Marty. - Maks jest wolny. Teraz może być twój.

- Martin! - oburzyła się i przerażona spojrzała na Christine.

- Kochasz go? - spytała dziewczyna. Halley załamała się. Ukryła twarz w dłoniach. Ostatnio żyła w stresie, a teraz okazało się, że może kochać Maksa i nie mieć wyrzutów sumienia.

- To dlatego nie chciałaś zostać w Heartfield? - odgadła Christine.

Halley uniosła głowę i spojrzała na nią. Dziewczyna promieniała szczęściem, a na szyi nie miała naszyjnika z pereł! Oto kobieta, która odnalazła siebie, która uczyniła miłowy krok i sięgnęła po szczęście. Czy ja mogę uczynić to samo, pytała się Halley w duchu.

- Dlatego - przyznała.

- Czy moglibyśmy zająć się jedzeniem? - zaproponował Jon zniecierpliwiony.

- Po lunchu idziemy kupować pierścionek zaręczynowy - wyjaśniła podekscytowana Christine.

- Przecież wy się prawie nie znacie - zdziwiła się Halley.

- I co z tego? - ripostował Jon. - A ty prawie nie znasz Maksa. Kiedy spotkasz tę właściwą osobę, to po prostu... po prostu wiesz.

- Ja to zrozumiałam w Boże Narodzenie. - Christine spojrzała na swojego wybrańca. - Musiałam tylko zebrać siły, żeby wziąć życie w swoje ręce. Gdyby nie twoje - zwróciła się do Halley - i babci, namowy, nie siedziałabym tutaj z wami.

- Już dobrze. - Jon położył kres zwierzeniom. - Jedzmy. Mamy ważne sprawy do załatwienia.

Halley nie potrafiła się skoncentrować na jedzeniu. Maks jest wolny! Co teraz? Co powinna zrobić? Złożyć podanie o etat w szpitalu w Heartfield? Czekać, aż on uczyni pierwszy krok?

Przyznali się otwarcie, że czują coś do siebie, ale wiedziała, że Maks ma mnóstwo wątpliwości. Poza tym pociąg to nie miłość.

Opuszczała restaurację z zamętem w głowie i sercu.

W ciągu następnych dwóch dni Halley była bardzo zdenerwowana. Czowała się niczym kot z długim ogonem w pokoju pełnym bujanych foteli. Za każdym razem, kiedy

rozlegał się dzwonek telefonu, łudziła się, że to Maks. Kiedy słyszała pukanie do drzwi, modliła się, by to był on.

Ale Maks nie dawał znaku życia.

Trzeciego dnia ogarnęło ją uczucie zniechęcenia. Doszła do wniosku, że musi wszystko przemyśleć od nowa, na spokojnie. Wydział zdrowia zaproponował jej kolejną wizytację, tym razem na drugim krańcu stanu Wiktorii, i rozważała, czy powinna się zgodzić czy nie. Poprosiła w związku z tym o dwa dni do namysłu.

Zadzwoiła do rodziców, którzy mieszkali w Górach Śnieżnych, i spytała, czy mogłaby wpaść do nich na kilka dni.

- Właśnie wybieramy się do Melbourne - odparta matka. - Jon chce nam przedstawić nową synową.

- Przypadnie wam do serca - zapewniła ją Halley. - Ale mnie tym razem zwolnijcie z rodzinnych obowiązków - poprosiła. - Potrzebuję kilku dni spokoju.

- Maks nie odezwał się? - spytała pani Ryan. W jej głosie słychać było autentyczną troskę.

- Nie - odparła Halley. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Przygotuję ci tu wszystko, córeczko - obiecała matka. - Jeśli zaraz wyruszysz, zdążysz, zanim wyjedziemy. Nie trać czasu na pakowanie. Jest tu przecież mnóstwo twoich ubrań. Wskakuj do samochodu i przyjeżdżaj - zachęcała.

- Dobry pomysł - mruknęła Halley i rzeczywiście wyruszyła bez zwłoki.

Jazda w góry ukoziła jej nerwy, a kiedy przybyła na miejsce, rodzice uścisnęli ją serdecznie.

Kiedy została sama, zaczęła myskować po domu. To i owo uładziła, przejrzała swoje rzeczy. Przez teleskop ojca zaczęła oglądać gwiazdy, ale znudziło ją to. Przebrała się w ulubione bokserki i koszulkę, w których lubiła spać. Zdjęła szkła kontaktowe, włożyła zwykłe okulary. Była zbyt

zmęczona, by jej zależało na wyglądzie. Wyjęła z lodówki litrowe opakowanie lodów czekoladowych, owinęła się kocem i zasiadła przed telewizorem.

Poczuła się odrobinę lepiej. Wygodne ubranie, smakołyk, dobry film i bezpieczne ciepło rodzinnego domu poprawiły jej nastrój. Co z tego, że Maks jej nie chce, pomyślała. Jakoś przeżyje. Zawsze dochodziła do siebie, kiedy jej się nie udawało z mężczyznami.

Film już się kończył, kiedy odniosła wrażenie, że przed domem zatrzymał się samochód. Wyłączyła fonię w telewizorze, by lepiej słyszeć, potem na palcach podeszła do drzwi i wyjrzała. W ciemności niczego nie mogła dojrzeć, a hałas ucichł. Wzruszyła ramionami i wróciła do salonu.

Mocne stukanie do drzwi przestraszyło ją tak bardzo, że aż podskoczyła, a z ust wyrwał jej się okrzyk.

- Halley? To Maks!

- Halley? Nic ci nie jest? Otwieraj! Pofrunęła do drzwi, szarpnęła je. Powiew zimnego powietrza wpadł do wnętrza. Zadrżała.

Oboje znieruchomieli z wrażenia - wrażenia, że znowu się widzą. Pytanie „Skąd się tu wzięłeś?” było zbędne. Maks przyjechał i tylko to się liczyło. W granatowym garniturze wyglądał niewiarygodnie przystojnie i serce Halley zabiło jeszcze mocniej. Znowu zadrżała, nie wiedziała, czy z zimna czy z emocji. Maks zaś nie mógł już dłużej panować nad sobą, przeskoczył przez próg, stopą pchnął drzwi, chwycił Halley w ramiona i przywarł wargami do jej ust.

Poddała się pocałunkowi, nie wiedząc, czy to sen czy jawa. Ale to nie był sen. Doznanie było zbyt silne, zbyt przejmujące, zbyt podniecające. Ani na moment nie przestając jej całować, Maks wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju.

Usiadł na kanapie, posadził sobie Halley na kolanach. Nie mógł uwierzyć, że nareszcie może ją całować.

Halley każdym nerwem czuła rozkosz, oddanie i pożądanie. Na moment oderwała usta od ust Maksa i patrząc mu w oczy, szepnęła:

- Kocham cię.

Zamiast odpowiedzi, Maks zaczął ją całować jeszcze goręcej, aż przyprawił ją o zawrót głowy.

- Od pierwszej chwili marzyłem o tym - szepnął, pieszcząc wargami jej szyję. Halley przymknęła powieki z rozkoszy. Wciąż nie mogła uwierzyć, że wszystko to przeżywa naprawdę. Dłoń Maksa spoczęła na jej udzie. - Ale masz nogi! - szepnął, a zmysłowy uśmiech ożywił jego twarz.

- Wiesz, miałaś rację...

- Kiedy?

- Kiedy mówiłaś o małżeństwie. Małżeństwo to wzajemne poświęcenie i wspomaganie się. To dawanie i branie. To odnalezienie bratniej duszy na resztę życia. Ale trochę to trwało, zanim zrozumiałem, że to ty jesteś moją bratnią duszą.

- Och, Maks - westchnęła, głęboko wzruszona jego słowami. Łzy napłynęły jej do oczu, ale po raz pierwszy od wielu tygodni były to łzy szczęścia.

Maks łagodnym gestem zdjął jej okulary i odłożył je na stolik.

- Kiedy Christine zerwała zaręczyny, poczułem ulgę - zaczął. - Uczucie do ciebie do tego stopnia zdominowało wszelkie inne, że nie ufałem mu. - Umilkł na chwilę, przeczesał palcami włosy. - Nie wiedziałem, jak zareagujesz, kiedy się zjawię. Przyznałaś, że cię pociągam, ale nie byłem pewien, czy za tym idzie coś więcej. Potem - mówił dalej - wezwano mnie do Geelong dla przedyskutowania możliwości nawiązania współpracy między naszym szpitalem a pewnym centrum specjalistycznym.



- Zapadła jakaś decyzja? - zapytała. Żywo obchodziły ją losy szpitala, ale jeśli się okaże, że

Maks przyjechał tylko dlatego, bo potrzebny mu jest lekarz?

- Umowa podpisana, opieczętowana i przesłana gdzie trzeba. Szpital w Heartfield nie zostanie zamknięty. Jest jednak wakat dla lekarza... Gdybyś była zainteresowana, oczywiście - dodał.

- Sądzisz, że wypuściłabym z ręki taką szansę? Pracowania z tobą? - Oczy jej napełniły się żarem. - Mieszkania z tobą?

Maks przycisnął wargi do jej warg.

- Przez cały czas, kiedy trwały negocjacje, myślałem tylko o tym, żeby cię odnaleźć i wyznać ci, co czuję - wyznał.

- A co czujesz? - Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

- Kocham cię. - Zaśmiała się z radości. - Bałem się, że skończę jak mój ojciec. Kochał matkę, a ona go rzuciła.

- Wiem.

- Myślałem, że jeśli nie pozwolę sobie kochać nikogo tak silnie jak on kochał ją, nie będę cierpiał. A potem zjawiałaś się ty.

- I wprowadziłam zamęt w twoje życie. Maks skinął głową.

- Tak. I jestem ci za to wdzięczny. Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Głos Maksa stał się niski, namiętny. - Pragnę cię. - Znowu ją pocałował, a Halley nie posiadała się ze szczęścia, że teraz może go całować ile chce i kiedy chce. - Poczekaj tutaj - rzekł po chwili.

- Gdzie idziesz? - zaprotestowała, ale był już za drzwiami. Potem usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu i odgłos kroków. Gdy wrócił, w ręku niósł kwadratowe pudełko, które

postawił na stoliku. Z kieszeni marynarki wyjął dwa widelczyki do ciasta i polecił:

- Otwórz. Posłusznie uniosła wieczko. Ze zdumieniem stwierdziła, że dłonie jej lekko drżą. W środku był tort czekoladowy z ozdobnym napisem: WYJDŹ ZA MNIE.

- I jak? - spytał niepewnym tonem.

- Tak! Tak! Tak! - Roześmiała się i pocałowała Maksa w usta. - Tak.

Odkroił kawałek tortu i trzymając go na widelczyku przy ustach Halley, powiedział:

- Zatem przypieczętujmy umowę zjedzeniem tortu.

- Świetny pomysł. Potem przy kawie i torcie snuli plany na przyszłość.

- Chciałem ci kupić pierścionek, ale nie wiedziałem, jaką biżuterię lubisz - przyznał się. - Jeszcze tylu rzeczy o tobie nie wiem - dodał i potrząsnął głową.

- Mamy resztę życia na to, żeby uczyć się siebie. Maks odsunął się i zajął jej głęboko w oczy.

- Naprawdę masz zamiar iść do ślubu w białej skórze? Uśmiechnęła się przekornie.

- Oczywiście. Maks był zachwycony.

- Wyobrażam sobie siebie w białych skórzanych spodniach i zakiecie. Zaoszczędzisz mi stresu. Nie będę musiał udawać wobec wszystkich, że widok twoich nóg mnie nie podnieca.

- Tak? Ale ja miałam na myśli mini z białej skóry, a nie spodnie!

- Nie dręcz mnie - jęknął.

- Dlaczego? - spytała ze zdziwieniem. - Przecież taka jest moja rola!